

Marya Milkuszc.

# ZAKĄTEK RODZINNY.

POWIEŚĆ.

WARSZAWA.

*Nakładem i Drukiem*

DRUKARNI ESTETYCZNEJ SIERPIŃSKIEGO

Ś-to Krzyżka 22,  
róg Mazowieckiej 2.

*Skład Główny*

W KSIĘGARNI J. M. BAZEWICZA  
Warecka 9.

1894.



# ZAKĄTEK

## RODZINNY.

POWIEŚĆ.



WARSZAWA.

Nakładem i Drukiem

DRUKARNI ESTETYCZNEJ SIERPIŃSKIEGO

Ś-to Krzyżka 22, róg Mazowieckiej 2.

**SKŁAD GŁÓWNY**

W KSIĘGARNI J. M. BAZEWICZA

Warecka 9.

1 8 9 4.

Zbiory specjalne



62 008

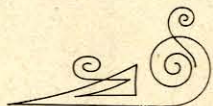
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



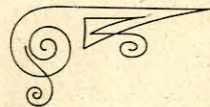
FUW 0368078

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 12 Октября 1893 года.



ZAKĄTEK RODZINNY.



K-21/76/62008

p



zerwiec ma się ku końcowi, wieś stroi się w najpiękniejsze odświętne, sukienki, wonią kwiatów napelnia powietrze, zielenią barwi pola i łąki: wśród zarośli i lasów odzywa się niezliczone mnóstwo śpiewaków. Ludzie także krzątają się wesoło, wspaniały pałac i skromny dworek przygotowują pomieszczenie dla spodziewanych gości. Natura jakby w znowie z ludźmi, nęci, porywa, zaprasza miejskich przybyszów, czeka na nich z upragnieniem, aby ich oczarować i przykuć do miejsca, a przynajmniej odjeżdżającym zostawić tęsknotę, która prędzej, czy później, znów ich do tych miejsc powróci.

W Starowoli ruch niezwykle; pan, pani, panienska, wszyscy krzątają się w gorączkowem oczekiwaniu, spotykają się co chwila przy zegarze, którego wskazówki dziś, posuwają się jakoś za leniwo...

Zaturkotały koła w lipowej alei, wszyscy troje znaleźli się od razu na ganku, przed który zajechał węgierski wózek, a z niego rażno wyskoczył młody chłopiec, lat może dziewiętnastu.

Wzrost średni, cera ciemna, duże, czarne ogniste oczy, mały zarost, ocieniający mu usta, ruchy lekkie

i cały pozór jakiegoś wewnętrznego zadowolenia, czynił go nadzwyczaj sympatycznym na pierwszy rzut oka; jakaś poczciwa serdeczna natura zdawała się pociągać ku niemu i budzić życzliwość.

Młody chłopiec, uściskany, wycalowany przez ojca, matkę i siostrę, stał ze łzą rozrzewnienia w oku i uśmiechem na ustach, a czuł się tak szczęśliwym w tej chwili, że losu swego z nikimby nie zamienił.

Wśród urywanych słów, splątanych odpowiedzi, niewiele znalazłoby się, do powtórzenia — wszyscy jednak stali, nie mogąc się zdobyć na odwagę chwilowego rozstania. Nakoniec rzekła matka.

— Biedny Staś, pewno głodny, a my go tu trzymamy, na stację przyjechał o dwunastej, a teraz już trzecia. Zosiu, każ podawać obiad...

— Zaraz, mamó; a ty, Stasiu idź do swego pokoju, jesteś bardzo zakurzony, dobrze zrobisz, jak się umyjesz i zmienisz ubranie.

Staś zwrócił się ku drzwiom na prawo.

— Nie tu, nie tu — zawołał ojciec — jesteś wypędzony z twej dawnej rezydencji; nasze panie uznały, że to, co było wystarczającym dla Stasia, nie jest dość dobre dla pana Stanisława i przeniosły cię na pięterko; zajmujesz pokój z balkonem.

— A mój pokoik?

— W tych dniach przyjedzie tu Lola z matką, dla nich go przeznaczono.

— A no, chodź chłopcze, zaprowadzę cię — rzekł Skalski, biorąc syna pod rękę.

Weszli na schody, ojciec otworzył drzwi. Staś stanął zachwycony. Łóżko tureckim pokryte dywanem, po nad niem armatura z przyrządów myśliwskich, obok siodło nowe i czaprak ręką siostry haftowany; na oknie wazon z kwiatami; na ścianach pejzaże, fotografie ro-

dziców i siostry, na stole ogromny bukiet z róż i jaśminu.

Stanisław jednym rzutem oka objął wszystkie niespodzianki, jednym uderzeniem serca odczuł cały ogrom przywiązania, serdeczność uczuć tych, co tyle poświęcili czasu, aby mu zaraz na wstępie taką sprawić przyjemność. Ze łzami rzucił się ojcu na szyję.

— Jakże wy tu wszyscy dobrzy, kochający dla mnie jesteście, czy wart jestem tego?

— Mazgaj z ciebie, Stachu, baba prawdziwa... — mówił sam bardzo wzruszony ojciec, rozpromienionymi ze szczęścia oczami wpatrując się w piękną twarz dorodniego młodzieńca.

— A no, myjże się żwawo chłopcze, bo tam pewno już obiad na stole; stary Jan od wczoraj myślał tylko o tem, czem panicza przyjąć; matka, Zosia, przypominały co najlepiej lubisz, wspaniała ci przygotowały ucztę.

Niedługo potem, Staś z ojcem stanęli we drzwiach jadalnego pokoju. Zosia zaszła mu drogę.

O rok młodsza od brata, szczupła, słusznego wzrostu blondynka, o dużych szafirowych oczach, ocienionych ciemną rzęsą, badawczo utkwiała wzrok w twarzy Stanisława, pragnąc z niej wyczytać, jakiego doznał wrażenia, zobaczywszy swój pokój, nad którym strawiła tyle czasu, by go ozdobić i uprzyjemnić.

Brat ujął ją za ręce.

— Moja ty dobra, droga, kochana Zosieńko, żebyś wiedziała, jak ja ci serdecznie wdzięczny jestem za wszystko, com tam zastał na górze. To też tak mi w tej chwili wesoło, że — przycisnął siostrę do piersi, objął w pół giętką jej kibić, i puścił się w wir szalonego walca w około stołu.

Zosia się śmiała, bardzo zadowolona z tego powodu radości.

— Dajże pokój, waryacie, skończ już raz te płasy; siadaj, jedz, zupa ostygnie — wołała matka.

Obiegwszy kilka razy w koło pokój, zmęczona para zdecydowała się zasiąść do stołu.

Tu znów wesola rozpoczęła się gawędka. Staś jadł za czterech, chwalił wszystko, śmiał się, dowcipkował, opowiadał...

Gdy się skończył obiad, Zosia wzięła brata pod rękę:

— Pójdziemy do ogrodu, mój Stasiu, pokażę ci moje kwiaty, zresztą tak dawno nie widzieliśmy się, mój drogi, musisz mieć wiele do powiedzenia, nieprawdaż?

Stali przez chwilę w milczeniu, w końcu Zosia zagadnęła:

— No, szkoły skończone, dyplom w kieszeni, a cóż dalej Stasiu?

— Wakacje.

— A potem?

— Czy ja wiem?

— Czyś zmienił dawne zamiary, nie idziesz już na wydział prawny?

— Nie, nie, Zosiu, nie to mam teraz na myśli. Ty wiesz, jak lubię muzykę... tej zimy Wieniawski był w Warszawie, dawał kilka koncertów, byłem na wszystkich. Od chwili, gdy wyjechał, muzyka pochłonęła wszystkie moje władze umysłowe. Po całych nocach grywałem na skrzypcach. Ach! Zosiu droga, ja czuję, że gdybym tylko miał dosyć wprawy, by przelać na struny to, co kipi mi w sercu, co szaleje w mózgu, mógłbym być równie wielkim, jak mistrz, co mi spokój życia zakłócił. To też teraz, droga siostrzyczko, marzę

tylko o tem, aby jechać zagranicę; wstąpić do konserwatorium w Paryżu, pracować tam przez lat cztery, a potem wrócić do domu wielkim, skończonym artystą, zawładnąć sercami tłumów; niech płaczą, gdy każę, niech się śmieją, gdy taką jest wola moja...

Stanisław mówił, a siostra słuchała go, dzieląc jego uniesienie.

To też gdy skończył mówić, prawie z nieśmiałością zapytała:

— Czy przywiozłeś z sobą twoje skrzypce, czy będziesz grywał, jak dawniej? Chciałabym ci akompaniować, ale czy jeszcze potrafię?... Powiedz mi, co grywasz, żebym mogła wystudytować dobrze, chociaż kilka utworów.

Stanisław uśmiechnął się smutno.

— Droga Zosiu, niewiele ja więcej umiem, niż zeszłego roku, wzięłem zaledwie sześć lekcji przed wyjazdem. Jak dotąd, dusza tylko rwie się do doskonałości, ale palce, smyczek, zawsze bardzo nieudolnie działają. Niedosć uczucia, technika, wyrobienie, o talencie artysty stanowią.

— Ależ ty z pewnością zostaniesz wielkim artystą, ja czuję, że tak być musi...

Teraz już, bez końca, toczyła się rozmowa, wątku jej dostarczały marzenia o złotej przyszłości, te bańki mydlane, błyszczące kolorami tęczy, a pękające przy zetknięciu się z rzeczywistością, i pozostawiające kroplę mętnej wody — lżę rozczarowania.

Skalscy nie byli bogaci; Starowola, była to wioseczka bardzo nie intratna, przy pracy, dawała zaledwie skromne utrzymanie. Skalscy jednak nie żalowali na wykształcenie dzieci, Zofia, dwa lata temu skończyła pensję w Warszawie, a przy wrodzonych zdolnościach i pod kierunkiem rozumnej i wykształconej matki, roz-

wijała się praktycznie, nie zaniedbując jednak książek i fortepianu. Idąc za przykładem matki, na wszystko czas znaleźć umiała; wesola, uśmiechnięta, często z piosenką na ustach, od rana przebiegała ogród, dogładając czego było potrzeba, w oborze, w szpiźarni, w piwnicy znajdowała się na przemiany; uprzejma i dobra, umiała jednak nawoływać do spełnienia obowiązku służbę i czeladź gospodarską.

Parę godzin minęło niepostrzeżenie na gawędce, nareszcie głos matki zawezwał brata i siostrę na podwieczorek. Wieczorem salonik Skalskich rozbrzmiewał muzyką, Stanisław wydobyl ukochane skrzypce. Zofia siadła do fortepianu i echo niesło daleko utwory mistrzów... Ojciec grzmiącymi oklaskami zachęcał swoich koncertantów, matce nieraz Iza rozczulenia zakręcił się pod powieką. Gdy skończyli, Skalski ucałował swoje dzieci, tak był z nich dumny, szczęśliwy.

— A tom się przecie wielkiego państwa na starość doczekał; koncert w Starowoli! na to ledwie stać magnata, a nie biedaka na marnym odłużonym folwarczku.

Sposępniał, Zofia zbliżyła się do ojca i objęła go pieścizotliwie.

— Mój ojczulku, dziś chociaż nie myśl o zgryzocie, cały dzień zszedł nam tak wesoło...

— Masz słusność, dziecko za taki dzień Bogu dziękować należy, mało podobnych da się naliczyć w życiu najbogatszych ludzi.

Westchnął, po chwili wszyscy rozeszli się na spoczynek.

Nazajutrz Zofia rzekła do brata:

— Czy wiesz Stasiu, że mamy bal w sąsiedztwie, imieniny Władzi Jaworowskiej; cała okolica zaproszona; zjazd będzie ogromny, nawet z Warszawy przybędzie

kilka panien, jak mi mówiono. Można się będzie wytańczyć, a doprawdy zapomniałam już.

— Ależ nie, przeciwnie, tańczysz jak sylfida. Ja rad jestem ze sposobności wystąpienia pierwszy raz w życiu we fraku, to przecie nieodzowna pieczęć do dyplomu; rozbrat z mundurem szkolnym, a więc ryszstunek wojenny dojrzałego mężczyzny. Ale powiedzno mi Zosiu, w jakiej ty wystąpisz toalecie?

— Ja mój drogi?... Nie wiem doprawdy, jak będę wyglądała na tem świetnym zebraniu. Ojciec chciał mi koniecznie na ten wieczór suknię z Warszawy sprowadzić, alem się temu całą siłą oparła. Ojcu teraz coraz trudniej o pieniądze; od roku ma proces z sąsiadem, zdaje się, że pozaciagał dług; często bywa bardzo smutny i zirytowany; chciałby ukryć przedemną i mamą, co go boli, ale my go przecie tak dobrze znamy... Kupiłam w miasteczku białej leciuchnej tkaniny, trochę wstążek i zabrałam się do roboty z poczciwą Figarską i dziś właśnie skończyłyśmy nasze arcydzieło. Nie uśmiechaj się Stasiu, mam przecie żurnale i trochę gustu. Zobaczysz! Tylko mój drogi, choćby moja suknia była bardzo brzydka, niech ojciec o tem nie wie...

— Biedny ojciec! — rzekł Stanisław z westchnieniem—martwić go nie chciałbym nigdy w życiu. Co za nieszczęście, że się uwikłał w ten proces... No, przymierz twoją suknię Zosiu, jeśli mam być sędzią, na tobie zobaczyć ją muszę...

Zosia weszła do swego pokoju; za chwilę stanęła przed bratem; ten gdy objął okiem udatną postać dziewczęcia, zawołał z uniesieniem:

— Śliczna jesteś, jak marzenie, będziesz królową bału, ręczę za to...

— Co też mówisz, Stasiu, przywiązanie cię zaślepia chybaś zapomniał, jak ładną jest Władzia, a Lola... tej każda z nas ustąpić musi.

— No, no, zobaczymy, a ty się żadnego porównania nie obawiaj...

Na zebraniu u państwa Jaworowskich, gwarno już było, gdy rodzina Skalskich ukazała się w salonie, brat i siostra powszechną na siebie zwrócili uwagę. Skromna, pełna wdzięku postać Zosi, w białej sukni, z świeżemi kwiatami w bujnych włosach, nęciła szczególnym urokiem. Tańczyła bardzo wiele, a pan Stefan Różański, który tylko co ukończywszy zakład agronomiczny, próbował młodych sił swoich na gospodarstwie stryja, korzystał ze sposobności zbliżenia się do Zofii; prosił o pozwolenie bywania w domu państwa Skalskich, a ze Stasiem zaprzyjaźnił się odrazu...

Pan Stanisław, choć jak mógł nadrabiał miną, jednak czuł się jakoś trochę nie w swoim żywiole, frak go żenował. Powoli jednak młodzieniec wrócił do równowagi; wesół bardzo z natury, tańczył zapamiętale, prawie bez wytchnienia. Panny znał prawie wszystkie, zartował, dyrygował niektórymi tańcami i wkrótce zajął na tem zebraniu wybitne stanowisko.

Zaledwie o dziesiątej rano, goście rozjeżdżać się zaczęli.

Powóz Skalskich dąży gościńcem ku Starowoli, spokojny jednostajny ruch do snu usposabia rodziców; brat i siostra rozmawiają półgłosem.

— Czyś zmęczona Zosiu?

— Ja, co znowu? do wieczora jeszcze tańczyć bym mogła. Czemuś dłużej nie przeciągnął kotyliona?

— Pewno, że nie ze znużenia, jak wrócimy do domu, musisz jeszcze ze mną przetańczyć oberka. Lola

ładna dziewczyna, ale tańczy nieszczególnie — z tobą równać się nawet nie może...

— Ach, Lola... mój Stasiu, czy też ty jeszcze wolne serce wiesziesz do domu? Tak byleś Lolą zajęty... a toby było prawdziwe nieszczęście bo...

— Nie podobałem się jej?... Śmieję się z tego siostrzyczko.

— Tego nie mówię, tylko... Matka jej, nagle zmieniła projekt i odwiedzi nas dopiero po wakacyach — widocznie boi się ciebie; nie chce, aby się Lola tobą zajęła, bo zdaje mi się, że marzy o połączeniu jej z hrabią Alfredem, który podobno po uszy jest zakochany, ale ty Stasiu...

— Ale ja, moja droga, na tańczącym wieczorze kocham się we wszystkich młodych i ładnych pannach, staram się podobać wszystkim bez wyjątku, spojrzeń gorących, grzecznych słówek, nie skąpię żadnej... a jak wrócę do domu serce moje do zwykłego wraca stanu: teraz nie miłość mi w głowie, ale skrzypce — oto moja najmiłsza kochanka. Lola dziś była prześliczna, niema co mówić, ale to brunetka, a ja droga Zosiu lubię blondynki. Niech więc wychodzi za hrabiego, zaprosi mnie na wesele, będę jej wszystkie tańce prowadził.

Powóz stanął przed gankiem, przerwała się rozmowa między rodzeństwem i zapomniawszy o projektowanym oberku, udali się na spoczynek. Godzina obiadowa zgromadziła znów wszystkich w jadalnym pokoju. Stanisław zbliżył się do siostry; była bledsza niż zwykle i trochę zamyślona.

— O czem myślisz? — zapytał nagle.

Pokraśniała i nie odpowiedziała nic.

— Złapałem cię na gorącym uczynku, myślałaś teraz o panu Stefanie, czy nie zgadłem? — mówił, patrząc jej bystro w oczy.



Panna Zofia spuściła głowę, nie wiedzieć dla czego na płacz jej się zbierało.

— Jeżeli masz zamiar dokuczać mi, to wolę ci się z drogi usunąć...

— Co to, chcesz się na mnie gniewać? na to nie pozwolę, najprzód zaraz przeproszę, a ty przebaczysz wspaniałomyślnie, bo zresztą o co ci idzie? tobie wolno posądzać mnie o miłość dla Loli, a mnie imienia Stefan wymówić nie wolno?... A teraz zgoda Zosiu — pocałował w rękę siostrę i w najlepszej harmonii zasiedli do stołu.

Po obiedzie zaczęła się muzyka, przzerwana wkrótce przybyciem pana Stefana z pierwszą wizytą.

Dzień za dniem szybko upływał w Starowoli; Staś ani spostrzegł, gdy mu zaledwie tydzień pozostawał wakacyj. Pewnego dnia pan Skalski zawołał syna na poufną rozmowę.

— Za tydzień kończą się wakacje, mój Stasiu, czas nam pomówić poważnie, co dalej robić wypadnie; byłeś zdecydowany studyować prawo, czy nie zmieniłeś swego postanowienia? W wyborze kariery, woli ci mojej narzucać nie myślę, byłeś mi dotąd pociechą i chluba, pewny jestem, że i nadal wstydu mi nie zrobisz. Ale moje dziecko, niespodziewane okoliczności podkopały mój stan majątkowy, coraz więcej z wydatkami liczyć się muszę. Chodzi mi o to, gdzie na uniwersytet wstąpisz. Warszawa bliżej, utrzymanie tańsze... Ale może ty już nie chcesz zostać prawnikiem?...

Stanisław milczał; walka wewnętrzna pokryła błądząco twarz jego. Ojciec popatrzył na niego uważnie i rzekł zaniepokojony:

— Co ci to Stasiu? Masz jakiś ciężki kamień na sercu; mów mi otwarcie, a uważaj mnie za najlepszego swego przyjaciela. Masz mi zrobić jakieś przykre zwie-

wienie, bądź spokojny, znajdziesz wyrozumiałość; nie zapomniałem dotąd, że byłem kiedyś młodym, może zaciągnąłeś dług jaki... albo też zaplątałeś się w jakąś intrygę?...

— Nie, mój ojcze, nie mam długów, intrygi też żadnej nie mam, tylko... ojcze, ja chciałbym... kształcić się w muzyce, jechać do Paryża do konserwatorium i zostać kiedyś wielkim artystą.

Skalskiego projekt syna zastał tak nieprzygotowanym, że na razie nic nie rzekł, pobladł tylko i twarz jego przybrała wyraz głębokiego smutku.

Stanisław stał przed nim zmieszany.

— Widzę, że zasmuciłem cię ojcze.

— A no, istotnie, tego, co usłyszałem od ciebie, najmniej mogłem się spodziewać. Wiesz, jak lubię muzykę, mój Stasiu, z jaką przyjemnością jej słucham, artystów szanuję, ale syna mojego widzieć na deskach teatralnych, choćby opsypanego okłaskami, kwiatami i złotem, niebardzo życzyłbym sobie. Cóż chcesz mój drogi, jam człowiek starej daty, mam swo.e przesady, zżyłem się z niemi. Nic to jednak nie znaczy, a przyszłość mojego dziecka nie będzie zależną ani od moich przekonań, ani uprzedzeń lub przesądów. Jeśli stanowczo taką będzie wola twoja, pójdiesz drogą, którą obierzesz, ja ci przeszkód stawiać nie będę, przeciwnie, dopomogę ile sił starczy.

Odetchnął i ciągnął z wolna dalej:

— Pozwolisz jednak, że ci tu wypowiem zdanie moje. Otóż, mój drogi Stasiu, przedewszystkiem zastanowić ci się wypada, czy podobaś zadaniu; muzyka, uprawiana jako talent, jest rozkoszą życia, pociechą w smutkach i zawodach, ale tenże sam talent, gdy mu przyjdzie zapewnić byt niezamożnemu człowiekowi, przedstawia się zupełnie inaczej. Gdy młodzieńcowi twardo

zapowiada się doła, gdy liczyć musi na własne siły, wtedy bardzo lekkomyślnym jest, gdy sobie tę obiera drogę. Chcieć zostać wielkim artystą to pięknie, szczerze!... ale jakże wielu wezwanych, a mało wybranych. Spytaj o pierwsze kroki nędznego grajka, co sztuką swoją po kawiarniach na ladajaki kawałek chleba zarabia, a pewno ci odpowie, że czuł w sobie wielkie powołanie, że muzyka przejmowała go dreszczem rozkoszy, nęciła jak uroczą kochanka. Uległ pokusie, porzucił ubite drogi zwyczajnej pracy, marzył o laurach, sławie, majątku, ale brak istotnych zdolności, środków wyższego kształcenia się, złamał go, zepchnął i rzucił w nędzę materialną lub stokroć gorszą moralną, z której już nigdy wydobyć się nie zdoła... Byłem kiedyś w Warszawie na licznych zebraniach. Tańce szły ochoczo, doskonały grajek grał niez mordowanie... Nakoniec podano kolację i całe zgromadzenie przeszło do sali jadalnej. Grajek tylko pozostał na swoim miejscu. Wszedł lokaj, postawił przed nim suto zastawiony stolik i wyszedł. Muzyk pokrzepił siły, wypróżnił butelkę starego wina i wrócił na swoje miejsce; ręce bezwiednie dotknęły się klawiszów, z pod palców cudne popłynęły tony, nieznaną symfonią zabrzmiała... Z początku nie zwrócono na nią uwagi; wkrótce jednak ustał gwar wesołej rozmowy, a zebrani goście słuchali z czcią prześlicznej harmonii tonów, nie śmiać nawet poruszyć się z miejsca. Mniej więcej trwało to pół godziny; gdy muzyka umilkła, z pośpiechem wszyscy rzucili się do salonu, aby zobaczyć artystę, podziękować za niespodziankę... ja byłem jednym z pierwszych. Przed fortepianem siedział biedny grajek, był bardzo blady... na odgłos oklasków i pochwał gorących, zasłonił twarz rękami... podszedłem do niego, ująłem za rękę... Wzruszony rzekłem do niego:

— Co to za cudny utwór pan nam zagrał, bardzo, bardzo mu wszyscy wdzięczni jesteśmy; pan jesteś znakomitym wykonawcą, — to rzecz trudna, koncertowa, ale daruj pan nieświadomości mojej i zechciej mi powiedzieć, czyj to jest utwór?

— Ten utwór — rzekł ironicznie — to moja improvizacja...

— Czyż to być może?... W takim razie pan jesteś znakomitym kompozytorem — to wydać trzeba koniecznie, ten utwór panu sławę i majątek przyniesie...

— Sławę... majątek... Niestety, zapóźno już teraz na te mrzonki!... kompozycje moje popaliłem, nie znalazłszy na nie wydawcy!... A dziś... dziś ja jestem panie grajkiem, podczas karnawału zarabiam dużo, w lecie jeżdżę do Buska i Ciechocinka... i tam zarobek pewny... ludzie tak tańczyć lubią... nie zbraknie mi zajęcia... Po kolacy walc, tak napisane w programie.

Uderzył w klawisze, młodzież pospieszyła do dam i wkrótce salon zabrzmiał wesoło ochoczym tańcem; kilkanaście osób otoczyło gospodynię domu, dziękując za miłą niespodziankę; pani z wdzięcznym uśmiechem przyjęła podziękowanie. Artysta grał niez mordowanie aż do rana; potem goście się rozeszli, a muzyk oprócz umówionej ceny dostał dziesięć rubli za swoją symfonię. Nazajutrz odnalazłem biedaka, pragnąłem przyjść mu z pomocą... Niestety, był on nałogowym pijakiem; został nim z rozpacy i jak sam powiedział: wszystko już było zapóźno. A jednak, to był wielki artysta! Okoliczności, zamiast oklasków i laurów, zgotowały mu śmierć w szpitalu i nieznaną na cmentarzu mogiłę. Jednak, nie biorąc rzeczy tak krańcowo, powiem ci jeszcze mój drogi, że w moim usposobieniu nie ma wcale materiału do tej cyganery, która, bądź co bądź, tło życia artysty stanowi. Przypuśćmy, że masz talent istotny, kończysz

konserwatorium; przychodzi chwila, by się dać poznać publiczności. Artystów wielkich mało, ale średnich i miernych bardzo wielu; nowy to wróg, współzawodnik, przeszkadzać mu trzeba, by nie doszedł do celu, zwątpił o sobie, usunął się z drogi... Ty się rwiesz do walki, ale gdzie? z kim? To są cienie niepochwytne, koledzy uśmiechają się do ciebie, ściskają za ręce — namawiają, byś się dał poznać, ale gdzie? Ofiarujesz udział swój w koncercie znanego, mniej lub więcej sławnego artysty, przepraszają bardzo grzecznie, z całym uznaniem dla twoich niezaprzeczonych zdolności; ale jesteś jeszcze nieznanym, zgłosiłeś się zapóźno, wszystkie numery programu wypełnione, może na inny raz... i tak powtarza się to z pewnymi wariantami do nieskończoności... Jedna tylko dla artysty młodego pozostaje droga, protekcyjna w wielkim lub artystycznym świecie, tu i tam, kobiety. A więc modny frak, biały krawat, jasne rękawiczki, kłamliwy uśmiech na usta — i dalej po zdobycie złotego runa. Szczęśliwa gwiazda zawiodła cię do salonu damy wielkiego świata, powierzchowność twoja, znalezienie się, zyskały ci jej sympatię. Względy zdobyte; zaczynasz występować w jej salonie, popisujesz się na rautach, gdzie z wielką uprzejmością, rozmawiając przytłumionym głosem, słuchają cię zebrani goście; gdyś skończył, dyskretny oklask, protekcyjnalne pochwały... Następnie wystąpisz bezpłatnie w jakim koncercie na cel dobroczynny, naturalnie bezpłatnie, bo twoja protektorka jest opiekunką instytucji, na korzyść której daną jest zabawa. Nakoniec dajesz koncert, a bilety rozsprzedawane przez znajome damy, przynoszą ci bardzo mały dochód, po odtrąceniu niezbędnych wypadków. No, ale stanąłeś na estradzie, pelen natchnienia, uniesień młodocianych... sala niebardzo zapełniona, wiele osób wzięło bilety przez grzeczność dla pani hrabiny, ale nie czuły

się w obowiązku przyjść na koncert; inne przyszły, ale dla tego, by spotkać się ze znajomymi, lub też po prostu dla zabicia czasu. I przed tem to, tak dobrze przygotowanym zgromadzeniem, przychodzi pierwsze próby przebywać mniej więcej każdemu artyście.

Potem krytyka milczy, lub szarpie złośliwie, i te próby ogniowe trwać mogą lat kilka. Ilez gorzkości, zawodów, cierpień moralnych i niedostatku znieść musi przez ten czas artystycznego nowicyatu młody człowiek. Potem dopiero przychodzi uznanie talentu, oklaski, sława... ale, aby dojść do niej i nie ustać wśród drogi, trzeba mieć koniecznie wielką dozę owej swobody ducha czysto artystycznej... Tego, mój Stasiu, brak ci zupełnie, dla tego też pewny jestem, że zawód artystyczny może tylko złamać ci życie. Dla tego widzisz mnie smutnym, dla tego proszę cię rozważ słowa moje, namyśl się i jutro objawisz mi twoje postanowienie, a ja zastosuję się do niego, polecając Bogu dalsze twoje losy. Tylko proszę cię, Stasiu, ani słowa nie mów o naszej rozmowie matce i siostrze, po co je martwić, niepokoić... na lzy i smutek zawsze dość czasu.

Mówił cicho i prawie z wysiłkiem.

Stanisław zbliżył się do ojca, pocałował go w rękę.

— Takiego ojca chyba niema drugiego na świecie... jutro rano przyniosę odpowiedź, mógłbym dać ją w tej chwili mój ojczu, ale kazałeś mi się namyślić, niechże i w tem stanie się wola twoja.

Stanisław wyszedł z kancelaryi bładym, wzburzonym; zarzucił strzelbę na plecy, poczem spiesznym krokiem skierował się do lasu. Szedł z pochyloną na piersi głową, zagłębił się w gęstwinę; rzucił na ziemię fuzję i sam padł pod drzewem, zakrył twarz rękami i płakał długo, rzewnie. Marzenia artystycznej karyery ustąpić musiały,



przed niezaprzeczoną logiką ojca; bez bólu, walki i cierpienia obejść się jednak nie mogło.

Późnym dopiero wieczorem Stanisław wrócił do domu; jak mógł najciszej wszedł do swego pokoju i położył się do łóżka. Niedługo później zjawiała się przy nim matka:

— Niespokojna byłam o ciebie, mój Stasiu, gdzie tak długo bawiłeś? Czyś nie głodny? zostawiłam dla ciebie kolację, ale, kiedyś się już położył, tu ci ją przyniosę.

— O nie, dziękuję, trochę mnie głowa boli...

— Możesz ty chory, Stasieczku?

— Nie, mamo, tylko zmęczony, chodziłem bardzo dużo... jak się prześpię dobrze, to jutro zdrowszy będę zupełnie, niech mama będzie o mnie spokojna.

— Łatwo ci to mówić, ja czuję, że coś zaszło między tobą a ojcem i on także wydał mi się zmieniony, wzruszony, niezdrowszy, gdy pytałem go o to, zamknął się u siebie... jestem bardzo niespokojna... Powiedz mi, mój Stasieczku, co się stało? jeśli się w czem nie zgadzacie, to powierz mi swoją sprawę, a wszystko będzie jaknajlepiej, tyłkoż mi się tak nie martwicie, moi drodzy — mówiła prawie ze łzami.

— Jutro wszystko mamie opowiem, dziś nie mogę, ale niech mama będzie spokojna, zdaje mi się, że nigdy w życiu nie miałem takiej sposobności przekonać się, do jakiego stopnia ojciec jest dobry i szlachetny. Nie kochałem go nigdy więcej, jak w tej chwili.

— Zaczne, poczciwe dziecko — rzekła matka, tuląc do piersi głowę ukochanego jedynaka, śpij więc spokojnie i niech cię Bóg w każdej chwili życia błogosławi i natchnie dobrą myślą... — Pocałowała go w czoło i wyszła.

Nazajutrz rano, za ledwie Skalski usiadł w kancelaryi przed biurkiem, Stanisław ukazał się we drzwiach.

— Czy można wejść, ojczcze?

— Chodź, mój chłopcze. A z czem przychodzisz?

— Jadę do Warszawy, zapisuję się na wydział prawny, trzy lata tam przebędę, na czwarty pojedę do Petersburga, zdam egzamina, wezmę patent — a potem, co Bóg da... Moje skrzypce tu ojcu zostawić mogę...

— A po co? Ja nie grywam, Zosia także nie — nacóżby się tu przydały? Zabierzesz je z sobą — będziesz grywał na nich, ile ci czas na to pozwoli — wszak to twoja rozrywka, a no i rozkosz nasza, gdy do nas na wakacje przyjedziesz; nie zechcesz przecie ani nas, ani siebie przyjemności tej pozbawić.

Rzucili się sobie w ramiona.

— Jakiś ty dobry i rozumny, mój ojczcze drogi, czy ja ci kiedykolwiek będę mógł okazać przywiązanie, przepelniające serce moje w tej chwili?

— Miej tylko zawsze we mnie zaufanie i bądź przekonany, że nikt ci lepiej odemnie życzyć nie może.

W tej chwili zastukano do drzwi.

— Pani prosi na kawę!

— Idziemy!

Ojciec i syn weszli do jadalnego pokoju, pani Skalska rzuciła na nich badawcze wejrzenie; obydwaj zaczęli całować ją po rękach. Zaczynała się uśmiechać się z po za łez.

— A niegodziwcy! ja dziś przez was oka nie zmrzyłam, przez całą noc; u Stasia byłam parę razy, ten przynajmniej chrapał jak najęty, ale mój jegomość, udawał, że śpi, a wzdychał jak dusza w czyścisku, a teraz... obydwaj w umizgi... no, no, czekajcie, nie daruję ja wam...

Podano kawę, rozmowa szła wesoło. Spokój na chwilę zmacony, zapanował znów wśród tych ludzi, tak kochających się szczerze, tak dobrze pojmujących się nawzajem.

Zosia nazajutrz wróciła do domu, Stanisław opowiedział jej wszystko; rozmowę z ojcem, poświęcenie nadziei przyszłości... i urósł w oczach siostry na bohatera.

Skończyły się wakacje i znów wózek węgierski stoi przez gankiem, gdzie cała znajduje się rodzina; Staś pożegnał rodziców, uścisnął siostrę i z pośpiechem siada na wózek; za nim płyną łzy i błogosławieństwa ukochanych, a i pan Stanisław zamglone ma oczy, odwrócił się, otarł je ukradkiem, bo nie chce, by go o serce niewieście posądził stary Michał, siedzący na kozle.



II.

**W**ózek potoczył się drogą ku stacyi kolejowej, Stanisław zapadł w smutną zadumę. Czuł, że zostawia za sobą, oprócz zwykłej tęsknoty, troskę o byt materyalny, o niepewne jutro...

Proces, rujnujący ojca, kto wie do czego doprowadzić może, ojciec zaciąga długi, zkądże weźmie pieniędzy, gdy przyjdzie termin wypłaty, rata Towarzystwa kredytowego...

Stanisław wzdrygnął się cały, pomimo upału w tej chwili dreszcz przebiegł go od stóp do głów... Starowola może być wystawioną na sprzedaż!... Ojciecby tego nie przeżył, a matka, Zosia... Ach bronić, bronić rodziców poświęceniem, pracą... Ale czemuż on jest?... prawie dzieckiem, które ma jeszcze przed sobą co najmniej pięć lat pracy naukowej, by zdobyć możność zarabiania na chleb powszedni. Ach czemuż jeszcze nie jest adwokatem, czemuż nie może wyratować ojca z nieszczęścia?...

Wózek podskoczył, potraćwiwszy o kamień, Stanisław poruszył się na siedzeniu, a ręka jego jakoś bezwiednie dotknęła bocznej kieszeni, w niej był pugilares z pieniędzmi... Ojciec mu je doręczył w wigilię dnia wyjazdu, zalecając oszczędność... zkąd je miał? pewno

to nowy dług zaciągnięty... biedni rodzice!... i to on, syn, jedynak, zdrow, czerstwy miałżeby być niedołęga, ciężarem... zamiast ulgą i pomocą... Czas już myśleć o sobie a więc spróbuje... wszak zna kolegów, co sami zarabiają na siebie...

Wózek zatrzymał się przed stacją, Stanisław ocknął się z zamyślenia jak ze snu przykrego, wyskoczył, pożegnał starego sługę, zbliżył się do kasy i zażądał biletu do III klasy. Pierwszy to był krok na drodze oszczędności, którą postępować przyrzekł sobie. Nazajutrz po przybyciu do Warszawy, Stanisław zapisał się do uniwersytetu, zapłacił wpis i zajął się poszukiwaniem mieszkania. Chodziło mu o to, by znaleźć jak najtańsze; znalazł je za nader niską cenę, z trzema ubogimi kolegami, co jak on, o własnej mieli iść sile. Wkrótce dostał parę korepetycyj, co dało mu możność nie korzystania z pomocy ojca. Z jakąż rozkoszą posłał list do domu, opisujący, jak dobrze, wygodnie i dostatnio żyć może z własnych funduszów. I zaczęło się dla Stanisława, to życie studenckie, pełne fantazji, gdzie wśród marzeń o przyszłości, rzeczywistość ciągle niknie z oczu. Staś trochę przecenił swoje siły moralne, poddasze zajmowane z kolegami odznaczało się ciągłym gwarem; śmiech, żarty, szyderstwo, nieustające ni w dzień, ni w nocy, dziwnie drażniło mu nerwy, przeszkadzało w pracy...

Po miesiącu Stanisław, któremu zresztą środki materialne pozwalały na to, zaczął poszukiwania choćby najmniejszego kąta, któryby swoim mógł nazwać. Znalazł wkrótce małą schludną izdebkę, którą mu wynajęła jakaś wdowa po stolarzu, podjęła się też stołować go i opierać. Na tej nowej siedzibie odzyskał humor i równowagę. Zdrowie miał żelazne, praca nie nużyła go wcale, odkąd mógł się jej swobodnie i w ciszy oddawać.

Studował prawo, czytał wiele, dawał lekcye, grywał na skrzypcach, a prócz tych zwykłych codziennych zajęć, zawsze był gotów przepędzić noc na tańcach lub hulance z przyjaciółmi. Wesoly, uczynny, figlarz zawołany, mimo to niezłomny w kwestiach uczciwości i honoru, z łatwością zyskał sobie uznanie i przyjaźń kolegów.

I tak wśród pracy i gwaru minął rok życia, nadeszły wakacje, Staś spieszy do Starowoli; bardzo akuratanie prowadzona korespondencya z siostrą zawiadamiała go o wszystkim. Wiedział, że pan Stefan nie tracił czasu, zaskarbił sobie względy rodziców — a serce Zosi podbił zupełnie, że byli już po słowie, że nawet zamienili pierścionki, chodziło tylko o naznaczenie dnia ślubu, o co pan Stefan bardzo nalegał, ale różne okoliczności stawały na przeszkodzie.

I znów zaturkotał wózek w lipowej alei, na ganku oczekiwali rodzice, siostra i Stefan, powitanie było równie serdeczne, tylko Staś z trwogą zauważył, że ojciec był bardzo zmieniony, przybyło mu zmarszczek na czole, matka pochyliła się trochę i uśmiechała jak przez łzy, Zosia spoważniała bardzo — rok ten, ciężką chmurą zawisnął nad spokojnym zakątkiem.

Nazajutrz po przyjeździe Stanisław wszedł rano do pokoju matki, zatopiona w modlitwie nie spostrzegła go wcale, usiadł opodal i patrzył na nią uważnie.

Smutną była snąć rozmowa biednej kobiety z Bogiem, twarz, łzami, zalana, wyrażała cierpienie bez granic. Co za smutny widok dla syna, który ją tak serdecznie kochał.

Po skończonej modlitwie powstała, a spostrzegłszy syna, pospiesznie otarła oczy.

— Czy dawno tu przyszedłeś? — zapytała.

— Przed chwilą, ale byłem dość długo, aby się przekonać, że serce twoje przepelnione jest boleścią. Powiedz mi, matko, co się tu stało, nie jestem już dzieckiem, część waszych cierpień i mnie się należy. Pewno to ten proces jest wszystkiego przyczyną. Powiedz mi, matko, jaki był powód, który zmusił ojca do prowadzenia go.

— Smutna to historia moje dziecko. Lat temu trzy zjawił się tu w okolicy pan Salomonowicz z Warszawy i wszedł w posiadanie majątku Zwirskich; nabył go za trzecią zaledwie część wartości, nieuczciwych używszy do tego środków. Gdy przyszło opuścić majątek rodzinny z żoną i dziećmi, bez żadnych środków utrzymania, Zwirski targnął się na własne życie; niedługo potem umarła jego żona, a biedne sieroty zabrała rodzina. Ojciec twój był przyjacielem Zwirskiego, znał doskonale cały przebieg sprawy, a i nabywca znany mu był potrosze. Nowy dziedzic nie zamieszkał od razu w nabytym majątku, dopiero, gdy urządził dom, postanowił zawrzeć stosunki z najbliższymi sąsiadami. W tym celu zjawił się u proboszcza po nabożeństwie, byli tam wszyscy sąsiedzi, a na swoje nieszczęście i ojciec twój między nimi. Salomonowicz, zbliżył się do niego z wyciągniętą ręką, a on odwrócił się z pogardą. Pan ten wyniósł się niebawem; sąsiedzi przyklasnęli cywilnej ojca odwadze, ale w kilka tygodni później, ojciec otrzymał pozew o nieprawne posiadanie łąk na granicy Starowoli i Zwirówki.

Była to tylko przyczepka, ojciec wrzucił ramionami, pojechał do adwokata, naradził się z nim, a ten, przejrzawszy dowody, upewnił, że sprawę wygra z pewnością; procesu jednak uniknąć było niepodobna. Obok tego jeszcze i zbiory nie dopisują, ojciec zaciąga długi, traci zdrowie, zabija się zgryzotą. Czuje, że ginie,

oto masz całą prawdę mój Stasiu — czy nie lepiejby było, gdybyś jej nie znał zupełnie?...

Stanisław klęczał u nóg matki.

— Nie płacz, mamo, proces skończyć się musi niedługo, ojciec go wygra, część długów opłaci, reszta zostanie na majątku, ja za trzy lata kończę nauki, biorę się do pracy, a choćby mi o chlebie i wodzie żyć przyszło, dopomogę rodzicom...

— Tak, mój Stasiu, dobrze mówisz, nie traćmy nadziei, Bóg ześle pociechę...

Pocałowała syna w czoło i wyszła do zwykłych swych zajęć.

Stefan od trzech dni bawił w Starowoli — nie chciał wyjechać, nie uzyskawszy stanowczej odpowiedzi, co do daty ślubu.

Młodzi ludzie kochali się serdecznie; przywiązanie ich wzrastało z dniem każdym, w miarę jak poznawali się bliżej; czuli, że prawdziwe szczęście zapewnią sobie nawzajem. Stefan młody, energiczny, gospodarz z powołania i wykształcenia, nie lękał się pracy; wziął sobie dzierżawę, skromnie, ale dostatnio urządził dom i pragnął co prędzej wprowadzić do niego młodą gosposię. Zosia była bardzo skromną w żądaniach; kochać, być kochaną, pracować, poświęcać się, gdy będzie potrzeba, oto wszystko, czego pragnęła na teraz.

Wracała właśnie przez ogród, gdy Stefan zaszedł jej drogę.

— Panno Zofio — rzekł całując jej rękę — ja dziś już muszę jechać do domu... Wczoraj chciałem wymódl na ojcu, aby nam datę ślubu naznaczył, zbył mnie wymijającą odpowiedzią... jestem niespokojny, nie rozumiem, co to znaczy?... wszak mam słowo rodziców, twoje serce, Zofio... dla czegoż ta zwłoka?...

Zofia zarumieniła się, a Stefan badawczo popatrzył jej w oczy.

— Pani musi wiedzieć przyczynę, zaklinam, powiedz, o co chodzi?

Patrzył na nią błagalnie.

Dziewczynie łzy zakreśliły się w oczach.

— Panie Stefanie, skoro ojciec nie mówi, ja nie powinnam zdradzać tajemnicy...

— Tajemnicy? zaklinam cię, powiedz! tak dłużej żyć niepodobna...

— Ojciec jest w bardzo złych interesach, brak mu pieniędzy na wyprawę i wesele — rzekła cichutko. — A teraz, kiedy wiesz przyczynę, nie nalegaj, będziemy czekali cierpliwie?

— I tylko tyle? Że też to ja nie domyśliłem się tego!... Otóż czekać nie będziemy.

Ujął obie ręce Zosi, ucałował je namiętnie i spieszenie pobiegł do domu.

Wpadł do kancelaryi. Skalski siedział smutny przed biurkiem, gdy się otworzyły drzwi, podniósł głowę.

— Dzień dobry Stefanie!

— Dzień dobry ojcu, przychodzę prosić, nie zatrzymuj mi dłużej Zosi, oznacz dzień ślubu; pozwól, niech zaraz pojedę do parafii, dać na zapowiedzi, u mnie wszystko gotowe, czeka na jej przybycie. Na co zwlekać? Ja już bez Zosi życia nie rozumiem, opuszczam się w pracy, zaniedbuję gospodarstwo; więcej w Starowoli, aniżeli u siebie przybywam... Panie Skalski, nie doprowadzaj mnie do rozpacz. Cóż ci zrobiłem złego, że mnie tak dręczysz bez litości?

— Stefanie, mylisz się, ja cię cenię, chętnie los córki w twoje złożę ręce, ale jeszcze nie mogę, poczekaj... Mogę ci oddać córkę nietylko bez posagu, ale nawet bez stosownego wesela, ty nie wiesz tego może,

że majątek mój odłużony, a Zosia jest zupełnie ubogą — jak na teraz... Chyba sprzedać Starowolę... a na to brak mi odwagi... chciałbym tu głowę położyć...

Stefan ujął rękę Skalskiego.

— Ojciec — rzekł wzruszony — dla czego dopiero teraz mi mówisz o tem? Wszystko to, com usłyszał, szczęściu mojemu nie stoi na przeszkodzie. Nie jestem wprawdzie bogaty, ale przy pracy będę miał na utrzymanie rodziny; przed miesiącem umarła moja ciotka, biorę po niej, parę tysięcy rubli i zaraz je ojcu oddam...

Skalski drgnął. Stefan mówił dalej, nie dając mu przyjść do słowa.

— Sumkę tę umieścimy na hipotecę Starowoli, wesela hucznego być nie może, z powodu mojej żaloby... Jadę zaraz do proboszcza i daję na zapowiedzi, ślub za trzy tygodnie... Panna Zofia, żadnej nie potrzebuje wyprawy... od tej chwili wszystko jest wspólne pomiędzy nami. Ja nie chcę, byście tracili córkę, oddając mi ją za żonę, owszem, pragnę wam być synem, pełnym czci i przywiązania... Czy dobrze, ojciec drogi?...

— Stefanie, ja nic ci w tej chwili odpowiedzieć nie mogę, rozczuliłeś mnie do głębi, ale przez usta twoje przemawia miłość — czy godzi mi się korzystać z obecnego twego usposobienia?... kto wie, czy za lat parę, nie pożałowałbyś tego, co gotów jesteś uczynić w tej chwili... daj mi czas do namysłu, mój drogi.

— Nie, nie, mój ojciec... ja ztąd nie odjadę inaczej, jak do parafii...

Wesele odbyło się cicho, Zosia skromniutką dostała wyprawę; ślub wzięła w białej muślinowej sukience. Stanisław poprowadził siostrę do ołtarza; małe grono gości, złożone z krewnych i przyjaciół uczestniczyło w skromnej uczcie, poczem młoda para odjechała, uno-



sząc błogosławieństwo rodziców i wielkie cichego szczęścia nadzieje.

Po wyjeździe Zosi pusto zrobiło się w Starowoli i smutno; Stanisław o ile tylko mógł uprzyjemniał chwile rodzicom. Fundusz, jaki dał Stefan, zapewniał spokój na pewien czas. Skalski spodziewał się zakończenia procesu, zbiory były niezłe — wszystko — więc zdawało się zapowiadać jaśniejsze chwile, a jednak ciężka chmura nie schodziła z czoła ojca. Stanisław cierpiał nad tem bardzo, a żegnając rodziców gorzko zapłakał i nie ukrywał łez swych, nawet przed starym woźnicą, który też co chwila przecierał oczy rękawem.

Zajechał przed stacę, wszedł do wagonu, zasunął się w kąt i już nie bolał, nie tęsknił, nie marzył, ale obliczał siły swoje i sposoby, jakimi mógłby zarobić na swoje utrzymanie i przyjść z pomocą ojcu. Trudne to zadanie.

Cierpiała szlachetna dusza młodzieńca, rwąca się do czynu—on pragnąłby choćby kosztem największych wysiłków i poświęceń dopomóc ukochanym i ulżyć im ciężaru trosk i niedoli.



### III.

arnawał świetnie zapowiadał się w świecie finansowym. W tych kołach biedy nie znają, o źródło bogactwa nikt nie pyta, a złoty cielec znajdzie zawsze czcicieli.

Dziś Rozenkranz daje pierwszy bal tej zimy, majątek jego ogromny, przewaga w świecie przemysłowym tak wielka, że żadne towarzystwo handlowe nie może się utrzymać, jeżeli nie zyska jego poparcia.

Zna swoją siłę stary finansista, dumny jest z niej, z uśmiechem zadowolenia patrzy na chylące się przed nim głowy, wie, że jedni go się boją, a drudzy potrzebują. Nie zachował żadnych iluzyj... pytanie, czy je miał kiedy. Ludzi zna bardzo dobrze, ale pomimo tego, pochlebstwa lubi, dobrze za nie nawet płaci niekiedy, bo one go chwilowo upajają, niby dym kadzidła.

Rozenkranz mówi powoli i sentencyonalnie, w podwładnych swoich najwięcej ceni porządek i akuratność, jest zresztą bardzo skąpy i wyrachowany, ale potrafi być hojnym, gdy tego próżność lub interes wymaga. Jest żydem i żydem do samej śmierci zostanie, dzieciom jednak nie narzuca swoich przekonań. Pieniędzy na ich

wychowanie nie szczędzi, chciałby im dać wszystkie talenta i wiadomości, a co do wody święconej, tę uważa za jeden z nieszkodliwych czynników życia, których można użyć, gdy tego wymaga interes, gdy więc zechcą, dzieci jego będą mogły zmienić religię — on im żadnych przeszkód czynić nie będzie.

Rozenkranz siedzi teraz w swoim gabinecie, lampa przyćmionym blaskiem oświetla pokój, stary wypoczywa w fotelu i niby drzemie — ciało jego spoczywa bezwładnie, ale umysł nie próżnuje...

Za parę godzin salony jego napełnią się gośćmi — córeczki pierwszy raz ukażą się na tak licznej zebraniu. Są wprawdzie tak brzydkie, że nawet ojcowskie oko nie może w nich żadnego wdzięku dopatrzeć, ale cóż to szkodzi, złoto lepsze jest niż uroda. Panny nieładne, to prawda, ale rozumne i pięknie wychowane, niech się teraz bawia, niech poznają młodzież; jak wybiorą, ojciec im mężów kupi. Czyż to trudno...

Syn, Herman, to chluba ojca, ten jest i piękny i rozumny, zna się doskonale na interesach, od trzech lat jest współnikiem ojca. Wychowany za granicą, tam najwięcej czasu przepędza, jemu ojciec powierza wszystkie interesy w bankach zagranicznych.

Ten się z pewnością z żydówką nie ożeni... stać go przecie bodaj na hrabiankę...

Dziś bal będzie wspaniały, rozesłano mnóstwo zaproszeń. Biada temu, co swą nieobecnością drażni miłość własną starego żyda... zemści się on bez litości, a każdego dosięgnąć potrafi. Wiedeński zegar antyk, wskazywał dziesiątą, bankier zadzwonił, wygalowany lokaj, stanął we drzwiach gabinetu:

— Czy już wszystko gotowe?

— Gotowe, jaśnie panie.

— Zapalać światło, panienki i miss prosić do salonu. Mnie tu przyslij kamerdynera.

W pół godziny później ogromny apartament zajaśniał mnóstwem świateł.

Rozenkranz, małego wzrostu, bardzo otyły, z dużym garbatym nosem, wargami obwisłymi, chociaż starym, podług ostatniej mody ubrany, wydawał się jakby jakiś sprzęt niepotrzebny, wśród tak wytwornie przybranych salonów. Za chwilę śmietanka towarzystwa zjeździe się tu podziwiać jego bogactwa.

Córki zbliżyły się do niego, popatrzył na nie z zadowoleniem, no, piękne nie były, ale jak wystrojone kosztownie! Miały na sobie suknie z Paryża, uczesał je najlepszy fryzyer.

Na kanapie siedziała siwowłosa angielfka, w jedwabnej, koronkami przybranej sukni.

— Czemu dotąd ciotka nie przyjechała? — rzekł Rozenkranz do córek — obawiam się, żeby nam nie zrobiła zawodu, ale jakiś powóz zajeżdża... może to ona.

Za chwilę weszła do salonu kobieta, już nie pierwszej młodości, miała na sobie suknię zieloną aksamitną, przybraną starymi koronkami, na głowie dyadem z gwiazd brylantowych, kolia, kolczyki, bransolety, zadziwiały wielkością i blaskiem brylantów.

Bankier przywitał siostrę.

— Wiesz, Alicyo, bałem się, że się spóźnisz, przecież od czasu, kiedy z żoną stracił, zastępujesz mi gospodynię domu, powinnaś więc być gotową do przyjęcia gości...

— Mamy jeszcze dosyć czasu — odrzekła — przed dwunastą nikt nie przyjedzie, znam przecie dobrą zwyczaję wielkiego świata. W Berlinie przyjmowałam u siebie wysokie towarzystwo, a dom mój sływał z szyku... ale Salko, Elizo, przysłałam wam tu mojego kredencera

do pomocy. Czy macie bufet, orkiestrę? — mówiła, przedko oglądając się w około.

— Niech ciocia będzie spokojna, w książęcym domu na nic lepszego się nie zdobędą, dziś tato nie żałował pieniędzy; proszę, może ciocia przejdzie się i zobaczy.

Salomea zaprowadziła ciotkę do sali jadalnej, gdzie ustawiony był bufet; najwytworniejsze przekąski, najszlachetniejsze wina, likiery w nadzwyczajnej znajdowały się obfitości — kilku lokajów stało w pogotowiu.

Wykwintne srebra, porcelana, kryształy, wymownie świadczyły o bogactwie domu.

— No, nieźle, wcale nieźle, jak na pierwszy raz, światła i kwiatów też jest dosyć — mówiła powoli Goldbergowa. — Mam nadzieję, że zabawa się uda, pragnę tego szczerze dla brata, a potrochu i dla siebie, przecież tu dziś jestem gospodynią.

Panna Salomea zagryzła grube wargi ze złości; nie lubiła ciotki. Sądziła, że ją olśni, pokazując przygotowania poczynione, a ciotka zaledwie raczyła powiedzieć: „nieźle“.

Pani Alicya była wdową po bogatym bankierze niemieckim, po śmierci męża wróciła do Warszawy, kierunek interesów powierzyła bratu, a sama, używała jak mogła najprzyjemniej czasu i pieniędzy. Bardzo piękna niegdyś, zachowała jeszcze trochę wdzięku, ale typ wschodni, coraz wyraźniej występował na zmęczonych rysach czterdziestoletniej kobiety.

Kronika plotkarska, nieraz wspominała jej nazwisko, ale pani Alicya obojętna była na złe języki. Fantazja, przyjemność choćby chwilowa, oto, co rządziło jej postępowaniem. W rozmowie była nadzwyczaj swobodna, a towarzystwo męskie lubiła bardzo.

Turkot zajeżdżających powozów, powołał do pierwszego salonu całą rodzinę bankiera.

Goście napływali dość licznie, arystokracja, spotykając się ze światem finansowym na tym neutralnym gruncie, zachowywała się chłodno, dam było niewiele.

Królową balu była adwokatowa Krońska, trzydziestoletnia złotowłosa blondynka, pełna wdzięku i kokieteryi, przyjaciółka nieodłączna Goldbergowej. Damy niechętnem na nią patrzyły okiem.

Salony już prawie pełne; orkiestra na znak dany zagrała poloneza; rozpoczęto tańce, a Rosenkranz ze zmarszczoną brwią, spogląda ciągle na drzwi salonu.

Zaszeleściły u wejścia jedwabie, bankier z uśmiechem pospieszył na powitanie. Hrabina Skoromecka, ukazała się w całym majestacie.

— Pani hrabina sama — zapytał Rosenkranz — a panna Laura? Moje córki tak się cieszyły nadzieją zobaczenia jej dzisiaj — co za szkoda?...

— Lorcia — stłumionym głosem, odparła hrabina — miała dziś wypadek, wysiadając z karety, zwichnęła nogę i przez kilka dni skazaną jest na zupełną bezwładność, nie mogła tedy skorzystać z tak miłego zaproszenia. Bardzo jej to przykro i jak tylko doktor wychodzić pozwoli, zaraz odwiedzi panienki, by im osobiście podziękować i przeprosić za nie swoją winę — dodała zwracając się do córek bankiera, i darząc je uprzejmym uśmiechem. — Ależ panie Rosenkranz — dodała hrabina — chyba pan, dziś opróżnił wszystkie oranżerye!... co za mnóstwo kwiatów?

— Pani hrabina lubi rośliny?... Może mogę służyć — rzekł podając jej ramię — przejdziemy do mego zimowego ogródka.

Nie było rady; wsparła się lekko na ramieniu bankiera i przeszła z nim cały szereg wspaniale przybranych salonów, chwaliła wszystko, niby oglądając ciekawie, gdyż chciała sobie zaskarbić łaskę Rosenkranza.

Hrabina, była to kobieta niezmiernie dumna i wyniosłego charakteru, ród swój uważała za tak wysoki, że mało kto godzien był z nią rozmawiać. Stosunki z plutokracją uważała za rzecz hańbiącą.

Od lat trzech owdowiała; mąż, zostawił interesa w najsmutniejszym stanie; ruina groziła, przez jakiś czas jeszcze z wielkim wysiłkiem podtrzymywał ją kredyt, ale niedawno plenipotent zawiadomił ją, że jeżeli rata towarzystwa kredytowego na oznaczony termin nie będzie zapłacona, majątek jej wystawionym zostanie na sprzedaż.

Trzeba się było ratować; napróżno się udawała hrabina do krewnych i przyjaciół, suma była poważna, lokacya niepewna, wszędzie odmowną dano jej odpowiedź.

Doprowadzona do rozpacz, przypomniała sobie Rosenkranza, widziała go w towarzystwie i naturalnie traktowała z góry, o czym stary pamiętał doskonale.

W ostateczności jednak postanowiła do niego się udać.

Gdy hrabinę Skoromecką zaanonsowano mu w kancelaryi, uśmiechnął się chytrze, kazał prosić, wstał uprzejmie na powitanie, podsunął jej najwygodniejszy fotel, prosił siedzieć.

Dama prdała mu rękę.

— Jakiemuż to wypadkowi mogę przypisać szczęście widzenia pani hrabiny, w mojej kancelaryi?

— Panie Rosenkranz — odrzekła — słyszałam tyle o jego rozumie i dobroci... jestem sama, wdowa, otoczona ludźmi złej woli, majątek mój zagrożony; przychodzę do pana prosić o pomoc i radę.

— Tak, ja wiem, pani hrabina potrzebuje dziś pewnego, a gotowego do poświęceń przyjaciela. Stan majątkowy pani jest bardzo zły. Na poczekaniu zaradzić

temu trudno, ale gdy pani hrabina, tak mi do serca przemawia, to jutro, odwiedzę wraz z memi córkami panią hrabinę; panienki się zaznajomią, a ja rozpatrzę papiery, może się co poradzi.

Hrabina bladła i czerwieniała naprzemian, walka wewnętrzna głos jej tamowała, nakoniec zdobyła się na odpowiedź.

— Jutro obie z córką oczekiwać będziemy, miło będzie nam poznać córeczki pana, o których wiele słydszałyśmy dobrego.

— Bo też to bardzo dobre dzieci, są nawet trochę utalentowane. Salka wcale nieźle maluje, a Eliza gra i śpiewa ładnie.

— Przy bliższem poznaniu zapewne ocenimy się nawzajem; teraz pozwoli pan, że go pożegnám, nie chcąc dłużej zabierać mu drogiego czasu.

Wstała, podała rękę bankierowi, który zatrzymał ją może trochę dłużej niż wypadało w swej grubej, o krótkich palcach, ręce.

Nazajutrz bankierówny z ojcem złożyły wizytę hrabinie.

Laura zabrała do swego pokoju panienki, aby dać czas matce do swobodnej rozmowy, o interesie. Trafila jednak kosa na kamień, przebiegły finansista nie dał się upłatać w siatkę jedwabnych słówek; stanowczo nie przyrzekł nic, tylko zaprosił hrabinę z córką do siebie na bal i pożyczył tysiąc rubli na zaspokojenie jakiegoś naglącego długu, a traktując tę sumkę jak nic nie znaczący drobiazg, nie chciał przyjąć rewersu.

Gdy dumna pani znalazła się we wspaniałej oranżeryi, odetchnęła pełną piersią, tu przynajmniej nie była wystawioną na szydercze wejrzenia i ironiczne ukłony, byli sami.

Wśród palm, cyprysów, drzew pomarańczowych fontanna, wygodne kanapki zielonym aksamitem kryte, naśladujące ławeczki darniowe, rozsiane były, wśród sztucznie urządzonych zarośli, różnokolorowe lampy przyćmionym trochę blaskiem oświetlały to ustronie, gdziekolwiek, wśród zieleni, widniały piękne marmurowe posągi.

Hrabina usiadła na kanapce, obok niej Rosenkranz.

— Tu możemy pomówić swobodnie, pani hrabino. Kazałem się poinformować o stanie majątkowym pani. Niema co w bawelnę owijać, pani hrabina jest zupełnie zrujnowana.

— Tak... ale, pan taki bogaty, taki szlachetny, pan może mnie wyratować, gdy zechce... ach panie Rosenkranz! gdyby tylko teraz zyskać na czasie... później możnaby sprzedać las, rozparcelować część gruntów...

— To się nie da zrobić, dłużnicy na to nie pozwolą.

— A więc mam utracić ostatnią nadzieję?... — zawołała zrozpaczona kobieta, długo tłumione łzy, wywołane wewnętrzną irytacją i upokorzeniem polały się z jej oczu, z wysiłkiem wstrzymała łkanie i prędko batystową chusteczkę poniosła do oczu.

— No, ja tego jeszcze nie powiedziałem, niech się pani hrabina uspokoi, ja na łzy patrzeć nie mogę... ja może jeszcze postaram się, żeby zapłacić Towarzystwo; mój syn Herman, wczoraj przyjechał z Paryża, ja jemu oddam ten interes — zaraz go pani hrabinie zaprezentuję, on jutro około trzeciej, będzie u pani hrabiny...

Szelest zwiastował zbliżające się do oranżeryi towarzystwo, hrabina otarła oczy batystową chusteczką i starając się nadać twarzy wyraz swobodny, szybko mówić zaczęła o operze włoskiej.

Wreszcie powstała i zwróciła się ku drzwiom salonu, Rosenkranz pospieszył za nią. Zaledwie przestąpili próg oranżeryi, zaszła im drogę Goldbergowa, bankier zaprezentował:

— Siostra moja, Alicya Goldberg, pani hrabina Sko-romięcka.

— Jakże się cieszę ze sposobności zaznajomienia się z panią hrabiną; z widzenia dawno się znamy; Warszawa, to taka miłościna, że wszystkie osoby wyższego towarzystwa, prawie zawsze spotykać się muszą.

— W istocie — rzekła z wysiłkiem hrabina.

— Osoby wyższego towarzystwa: ona i Goldbergowa, to nie do zniesienia!... — pomyślała w duchu.

Rosenkranz, w tej chwili dostrzegł syna wśród grupy młodzieży; skinął na niego.

— Pani hrabina pozwoli sobie zaprezentować: mój syn Herman...

— Miło mi poznać — uprzejmie rzekła hrabina, obrzucając młodego człowieka badawczym wejrzeniem.

Młody Rosenkranz miał lat dwadzieścia siedm, rysy wschodnie dość regularne, zarost i włosy czarne, twarz bladą, wzrostu był średniego, szczupły, ruchy miał wytworne i w ogóle pozór francuza z dobrego towarzystwa.

Sklonił się nisko i rozpoczął rozmowę wytworną francuszczyzną; wątku do niej, z łatwością dostarczył mu świeży pobyt w Paryżu.

Z całej rodziny Herman wydał się najznośniej- szym hrabinie, zresztą, pragnęła go sobie zaskarbić, gdyż jemu miał być powierzony jej interes, była też bardzo uprzejmą, łaskawie zaprosiła go, by zechciał bywać w jej domu, nie szczędziła mu zręcznych pochlebstw. Rozmawiała z nim dość długo, przechadzając się po salonie

wreszcie usiadła, a w tejże chwili pospieszyła do niej Goldbergowa i zaczęła bawić rozmową.

Przy dźwiękach wybornej orkiestry tańce szły dość ochoczo, bufet dostarczał win szlachetnych, młodzież pokrzepiała się często; wreszcie dam było niezbyt wiele, a zatem wszystkie tańczyły.

Kilka młodych, wytwornie strojnych kobiet, usunęło się do małego, złotym adamaszkiem wybitego buduaru, przepelnionego chińskimi cackami. Ściśnięte w jeden kącik półgłosem prowadzą rozmowę, przeplatana często wesołym, trochę szyderskim śmiechem.

Goldbergowa, spełniając sumiennie obowiązki gospodyni, przysiadła się do nich.

— A to co, już zmęczone! uciekacie od tańca? O czym tak wesoło idzie gawędka?

— W tej chwili mówiłyśmy o Krońskiej; co za szczęśliwa kobieta!... ma idealnego męża. Sie!zi teraz przy kartach, a jego ubóstwiana Dora flirtuje z hrabią Konradem...

I cóż w tem złego? przecie hrabia jest ładny, młody i dobrze wychowany, a Kroński dobrze robi, że się w Otella nie bawi, to śmieszna rola i już wyszła z módy. *Chaque Fadete a son Fadet*. Dajmy temu pokój moje panie, bo gdyby ją przyszło kamienować, ktoby tu pierwszy mógł rzucić kamień! Nie ja, to pewna, w pokorze ducha usuwam się od tego honoru.

Obronila po swojemu przyjaciółkę.

— Dobry z ciebie adwokat, Alicyo; powierzę ci pierwszą moją sprawę, a tymczasem powiedz mi, kiedy tak dobrze jesteś z tą Krońską, jak wygląda jej infidélité á l'infidélité? Mówiono mi, że jestto młodzieniec bardzo piękny, ma grać znakomicie na skrzypcach, posiada prócz tego wiele innych zalet, ale jak skromny fiołek ukrywał się w tłumie motłochu, zkad go jednak piękna Dora, aż

do siebie wyniosła—mówiła z szyderskim uśmiechem na ustach, jakaś rudawa piękność z garbatym noskiem.

— Żle jesteś poinformowana, moja Sali, bywam u Dory w różnych godzinach, znam jej wszystkie stosunki, ale o niczem podobnem nie słyszałam. Widziałam wprawdzie u niej nadzwyczajnej urody młodego człowieka, lecz wątpię, by ją miał obchodzić, jestto student, daje lekcyę jej synowi, jest bardzo dobrze wychowany, syn obywatelski. Dziwne bo też plotki panują w naszym kółku.

— Czasem opowiadają coś takiego, czemu wierzyć niepodobna... naprzykład ta ostatnia awantura w hotelu Europejskim.

Sali trochę pobladła. W tej chwili dała się słyszeć przegrywka do mazura, weszli do buduaru panowie, w poszukiwaniu swoich danserek i rozmowa urwała się.

Hrabina Skoromecka korzystając z zamieszania, zwolna kierowała swe kroki do wyjścia, nie pozwolił na to stary Rosenkranz, mający ją ciągle na oku.

— Czem mogę służyć pani hrabinie, może...

— Dziękuję, serdecznie dziękuję, mam silny ból głowy i sądzę, że najlepiej zrobię, jeżeli odjadę do domu.

— Jakto przed samą kolacją?... to być nie może; w tej chwili podadzą — potem nie będę się sprzeciwiał woli pani hrabiny, ale teraz niepodobna...

Do samej kolacyi bankier nie opuszczał hrabiny, podał jej ramię, usiadł przy niej, zajmował się nią nieustannie, męczyl grzecznościami.

Po kolacyi, sam odprowadził ją aż na dół, a gdy wsiadła do karety, wrócił bardzo zadowolony, teraz już wszystkim było wiadomo, że łączyły go stosunki przyjazne, z dumną arystokratką.

Salony bankiera opróżniać się zaczęły; gdy za ostatnim gościem zamknęły się podwoje, Rosenkranz wziął syna pod ramię.

— Czy ty znasz hrabiankę Laure, Hermanku?

— Z widzenia; niebrzydka, ale głowę wysoko nosi, zdawałoby się, że po koronę sięga.

— No, czemu nie? Słuchaj, Hermanku, musisz być jutro u hrabiny, około godziny trzeciej czekać na ciebie będzie; ja poślę rano zapłacić za nią dług w Towarzystwie, a ty jej zanieziesz weksel do podpisania, płatny za sześć miesięcy. Przy tej sposobności staraj się przypodobać matce i córce, tobie to będzie nie trudno; ty bardzo ładny chłopiec jesteś i maniery masz pańskie. Ja dumny z ciebie jestem, mój synu i... ożenię cię z Lorcją, byleś chciał. Ta panna strasznie mi się podoba, żebyś nie był tak stary, sambym o niej pomyślał.

Pan Herman uśmiechnął się szydyczko.

— Przed takim rywalem — rzekł — musiałbym kapitulować, tymczasem spać mi się chce, dobranoc, a raczej dzień dobry ojcu!...

Gdy odszedł, stary spojrzął na zegarek, ósma godzina — zadzwonił

Posłać mi zaraz po Berkowicza; jak przyjdzie, wpuścić go tu do mnie, choćbym spał.

Za chwilę stary bankier spoczął wygodnie na łóżku; nie zasypiał jednak, bo w myśli układał różne plany i kombinacje.

Niedługo zjawił się zawezwany Berkowicz.

— Słuchaj — rzekł Rosenkranz — jest do zrobienia delikatny interes, ale ja wiem, że ty z żydkami umiesz. Hrabina Skoromecka jest w złych interesach, dobra jej ma Towarzystwo na licytację za tydzień wystawić; weźmiesz z kasy pieniędzy i nakupisz mi jej weksli, obecnie, bardzo tanio nabyć je możesz. Jak wrócisz z giel-

dy, weźmiesz z kasy pieniądze i zapłacisz ratę Towarzystwu i przyjdiesz do mnie.

Berkowicz się skłonił i poszedł spełnić rozkazy.

— Stary chce kupić dobra hrabiny tanio — rzekł półgłosem, — dla czego nie, to bardzo dobry interes!



## IV.



dy za hrabiną zamknęły się drzwiczki powozu, wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Co za upokorzenie, co przeszła tego wieczoru... nigdy duma jej na podobne nie była narażoną próby... musiała podać rękę Goldbergowej... pocałować Rosenkranzówny — jutro przyjmować będzie w swoim salonie pana Hermana!... Co za męka... co za poświęcenie! Trudno, musi ratować mnie, opłaci je, bodaj utratą godności osobistej.

Panna Laura miała już lat dwadzieścia ośm, nie była piękną, ale rasową, w całym tego słowa znaczeniu. Słusznego wzrostu, bardzo szczupła, na trochę zadługiej szyi, miała osadzoną maleńką główkę, o drobnych pociągłych rysach, nos jej był trochę spiczasty, oczy barwy zielonkawatej, niewielkie ale patrzące wyniośle, ręce jej o długich cienkich paluszkach, zgrabnemi zakończone były paznokciami, ruchy miała spokojne, pełne majestatycznej godności.

Marzyła od dzieciństwa o wielkich i świetnych związkach, ale niestety, korony hrabiowskie i mitry księżęce, tak bardzo dziś potrzebują odzłocenia, że panna wysokiego rodu, gdy jest pozbawioną posagu, liczyć na nie nie może.

Miłość własna Laury przez ciężkie przeszła próby i opadła na serce straszną goryczą i żalem do świata.

W istocie, ciężkie było jej życie; stanowisko w świecie, duma rodowa i osobiste upodobanie wzywało do zbytków, położenie majątkowe było przykre, a jednak przed światem błyszczeć wypadało!...

Laura czekała na matkę; czuła się bardzo rozdrażnioną, wzięła do ręki jakiś romans francuski, ale nie czytała go wcale; trapiące myśli marszczyły jej czoło, siadała, wstawała, chodziła po pokoju, co chwila spoglądała na zegar...

Nakoniec, turkot powozu oznajmił powrót matki, wybiegła na jej spotkanie aż na schody.

— Cóż mam, czy Rosenkranz...

— Nie wiem, nie wiem Lorko, stary lis, z nim ciężka sprawa; niekontent był z tego, żeś nie przyjechała; mnie afszował jak mógł, ale mu to nie wystarczało; córeczki jego — dodała z ironią — czują do ciebie nadzwyczajną sympatyę...

— A ja do nich żadnej, ale mniejsza o to.

— A jednak na drugi raz już ci się nie uda pozostać w domu; ten żyd to ostatnia deska zbawienia... Aby się jakoś politycznie wytłomaczyć, powiedziała, żeś zwichnęła nogę; zdaje się, że mi niebardzo uwierzyli; trzeba ich przekonać; jutro ma tu być u nas Herman w tym interesie, musisz przez czas jego wizyty, pozostać nieruchomie na kanapie. Chcę jednak, by cię zobaczył; bądź grzeczną dla niego, Lorciu, los nasz w ich rękach. Zresztą ten Herman nieźle się prezentuje, wychowany w Paryżu, ma obejście dość dystyngowane... To gorzej, że musiałam się poznać z siostrzyczką Rosenkranza — wiesz, z tą Goldbergową, miała na sobie chyba za jakie sto tysięcy brylantów. Idź już spać, Lorciu, a jutro ubierz się do twarzy i przed trzecią, bądź w salonie — dobranoc moje dziecko.

Zaledwie zegar wybił trzecią godzinę, młody Rosenkranz zjawił się w salonie hrabiny; ta natychmiast zapre-



zentowała go córce. Panna Laura wskazała mu łaskawie fotel obok kanapy, z której dla zwichniętej nogi, ruszyć się nie mogła.

Herman był skończonym salonowcem, Laureę poznał od razu i przybrał jedyny ton, jaki mógł się jej podobać, traktował ją, jak bóstwo olimpijskie.

Po półgodzinnej rozmowie, którą zdawał się być upojony, powstał, złożył głęboki ukłon, a Laura zapomniawszy o swej chorej nodze, wstała z kanapy i uprzejmie podała mu rękę.

Lekko, z wdzięcznością uściśnął arystokratyczne paluszki, poczem zwrócił się do starej hrabiny.

— Czy mogę prosić o chwilę posłuchania, mam do załatwienia zlecenie, dane mi przez ojca.

— Proszę pana — rzekła uprzejmie — Prowadząc go do przyległego pokoju.

— Mam tu oddać pani hrabinie kwit Towarzystwa — a oto jest weksel na tę sumę płatny za pół roku; pani hrabina zechce go podpisać.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję — rzekła. — Mam nadzieję, że pan zechce, odwiedzić nas niedługo.

— Nie omieszka skorzystać z łaskawego pozwolenia.

Pożegnał hrabinę i wyszedł.

W kilka dni później Laura z matką odwiedziły Rosenkranza; cała rodzina znalazła się w komplecie; pan Herman był wyjątkowo zajęty panną Laurą — stary bankier wesoło rozmawiał z hrabiną, która przymilała się do jego córek.

Wszyscy byli bardzo zadowoleni, a patrząc na to małe zebranie, słuchając tego, co z sobą mówili, można było przysiąc, że tych ludzi łączy najserdeczniejsza przyjaźń.

— Taka piękna sanna tej zimy, mamy zamiar jutro

jachać na Bielany — zagadnęła panna Salomea — możeby i panie zechciały wziąć udział w tej zabawie? Byłoby nam bardzo przyjemnie...

Hrabina zwróciła się do córki:

— Jak sądzisz, Lorciu, czy mogłabyś zrobić tę wycieczkę bez narażenia twojej chorej nogi?

Herman zwrócił wzrok błagalny na hrabiankę.

— Postaram się być zdrową na jutro.

— Jaka pani dobra! — zawołały w uniesieniu obie bankierówny.

— A więc — rzekł stary Rosenkranz — niech panie będą gotowe na godzinę trzecią, zajedziemy z całym towarzystwem po panie.

— Jak tylko Lorcja czuje się na siłach, ja nic nie mam przeciwko projektowanej zabawie.

Nazajutrz przed mieszkaniem hrabiny w oznaczonej godzinie kilkanaście wytwornych sanek stanęło przed bramą. Rosenkranz z synem poszli na górę; hrabina z córką były gotowe, podano futra, stary bankier zbliżył się do hrabiny i podał jej ramię, przyjęła w milczeniu; pan Herman wprzód błagalnym wzrokiem popatrzył na Laureę, a czytając w jej oczach łaskawe przyzwolenie, podał jej rękę i wyszli na ulicę. Stary Rosenkranz pomógł wsiąść hrabinie i zajął obok niej miejsce, Laura i Herman pomieścili się w drugich sankach.

Hrabina była w rozpacz.

Rączy konie, jak wiatr, pomknęły przez ulicę miasta. Przechodnie oglądali się ciekawie.

Stary Rosenkranz był promieniejący, a hrabinie zdawało się, że każdy patrzy na nią z szyderstwem, że lada chwila zaczna ją palcami pokazywać. Nasuwała na czoło futrzaną czapkę, twarz kryła starannie gęstym welonem.

Na Btelanach czekał na gości wytworny objad.

Pan Herman nie odstępował Laury, śledził każdy jej ruch, każde wejrzenie, grał rolę posłusznego niewolnika.

Laura pierwszy raz w życiu była przedmiotem uwielbienia i starań mężczyzny, a przecie lat tyle marzyła o tem, serce jej tyle razy przecierpiało męczarnie zazdrości, gdy widziała hołdy oddawane innym kobietom. A dziś ona była królową...

Późnym wieczorem opuszczono Bielany, teraz już hrabina z córką wsiadły do jednych sanek, odwieziono je do domu.

Panna Laura była bardzo wesoła i ożywiona, hrabina kwaśna i rozdrażniona.

— Jakże ci się podobała szlichtada? — zapytała córki.

— Ależ bardzo, zabawiłam się doskonale.

— Dziwię się, jak panna twojego rodu mogła się bawić w takim towarzystwie...

— Aleśmy w niem były pierwszymi, mamó, a w własnych kołach, od czasu gdyśmy straciły majątek, bardzo podrzędną rolę gramy.

Hrabina przygryzła wargi, córka mówiła prawdę — po chwili zapytała:

— Ciekawam też, co ci interesującego mógł prawić ten żydek?

— Pan Herman, mamó, jest bardzo miły i dowcipny, zresztą dla mnie ma tyle uwielbienia, szacunku...

— Tak... i cóż dalej, może i ty?...

— Ja nie, ale jestem mu wdzięczna, zresztą pochlebiam to nawet mojej miłości własnej, że umiałam się podobać człowiekowi, tak rozumnemu i obytemu w świecie. Mnie to przecie do niczego nie obowiązuje, a hołdy pana Hermana mogę przyjmować bez obawy.

Powiedziała matce „dobranoc“ i rozeszły się na spoczynek — niezadowolone z siebie nawzajem.

Rosenkranz, stał się teraz częstym gościem hrabiny; w każdej chwili gotów spieszyć z pomocą pieniężną w zbyt licznych kłopotach, był dla niej istotnie nieocenionym skarbem; to też coraz mniej ją raziła nazwa przyjaciela, którą sobie dawał przy każdej sposobności.

Hrabina z córką tej zimy miały swoją lożę w teatrze, toalety świeże i modne, wreszcie wydały wieczór, na który zaproszono całe wyższe towarzystwo. Rodzina Rosenkranzów stanowiła płamę na rozjaśnionym horyzoncie hrabiny, ale trudno było uniknąć zaproszenia. Drażniły trochę matkę i córkę szyderskie wejrzenia, słodko-jadowite uwagi gości, odpowiadały jednak na nie wyniośle; lub też ostrym dowcipem odpierały rzucone słówko.

Pan Herman, jak zawsze, grał rolę zakochanego, panna Laura usiłowała budzić w nim zazdrość, więc uśmiechała się wdzięcznie do swoich kuzynków, rozmawiała wesoło ze starymi i młodymi, tańczyła z każdym, kto ją zaprosił; poczem gdy Herman z gestem i wzrokiem Otella tulił ją do siebie w szalonym wirze walca, czuła się niezmiernie szczęśliwą.

Więc nakoniec była kochaną... było serce, nad którym mogła panować...

Skończył się wieczór, goście się rozeszli, panna Salomea zdobyła sobie hołdy barona N. Nie odstępował jej przez cały wieczór, tańczył z nią, bawił rozmową i nazajutrz złożył wizytę. Prawda, że był zupełnie zrujnowany — wartość jego fizyczna i moralna nie przechodziła zera, ale ród był dawny i herby niewątpliwe, mile więc został przyjęty w domu bankiera.

Stary Rosenkranz gładził brodę i uśmiechał się dwuznacznie.

Tak wśród ogólnego zadowolenia minął karnawał, skończyły się bale, pora rautów nadeszła.

Hrabina z córką rozmawiały wesoło o ostatnim wieczorze, gdy wtem zaanonsowano starego Rosenkranza. Panna Laura wstała.

— Zostawiam mamę, pewno jestem zbyt zbyteczną.

W salonie spotkała się z bankierem, ten pocałował ją w rękę i patrząc na nią, jak umiał najczulej, rzekł.

— Jaka pani dziś śliczna, panno Lauro, żeby to pani była równie dobra, tobyśmy wszyscy mogli być bardzo szczęśliwi...

— Nie rozumiem — odpowiedziała zaniepokojona.

Rosenkranz wszedł do buduaru, hrabina uprzejmie powstała na jego przyjęcie.

— Dzień dobry, kochany panie Rosenkranz, *quel bon vent vous amène?* Właśnie bardzo życzyłam sobie zobaczyć się z panem.

— To dobrze — rzekł siadając — bo i ja tu także dzisiaj w interesie.

— W jakim? — zapytała hrabina.

— Pani hrabina podpisała weksel na trzydzieści tysięcy rubli, termin za dziesięć dni, czy pani ma pieniądze na zapłacenie? Ja nie wiem w czyich on teraz znajduje się rękach, ale mniejsza o to, zgłoszą się tu, gdy termin nadejdzie.

Hrabina szeroko otworzyła oczy.

— Co pan mówi, panie Rosenkranz, a zkadże ja bym wzięła tych pieniędzy?...

— Więc jak będzie?

— Ja myślałam, panie Rosenkranz, że mam przyjaciela, że mnie pan wyratuje w każdej potrzebie.

— No, ja byłem i jestem przyjacielem pani hrabiny i bardzo się tem szczycę — drobne przysługi, na które nawet kwitów nie brałem, wynoszą sześć tysięcy rubli, ale to bagatelka! Ja się wcale nie upominam, ale trzydzieści tysięcy, to suma.

— Ach! panie, ratuj mnie, Wdzięczność moja...

— Wdzięczność, pani hrabino, to wolna ptaszyna, a ja jestem za stary i za ciężki na to, aby za nią gonić. Jest na to tylko jeden sposób.

— Jaki?

— Mój biedny Hermanek, zakochał się szalenie w pannie Laurze; to mój jedynak, cała moja chluba i nadzieja, przykro mi patrzeć na niego, tak posmutniał i zmierzniał... niech mu pani hrabina, odda córkę, a ja wtedy, dobra pani hrabiny z długów oczyszcze i przyznam je pannie Laurze w posagu—a Herman, dożywotnio będzie płacić pani hrabinie sześć tysięcy rubli. Tak, nikomu krzywdy nie będzie. Jeżeli zaś pani hrabina, nie przystanie na moją prośbę, to wierzyciele zabrają nietylko dobra, ale nawet z mieszkania pani hrabiny ostatni wyniosą gracik — i zostaną się panie, chyba na lasce krewnych.

— Ależ panie Rosenkranz, Lorcja jest pełnoletnią, ja jej ręką samowolnie rozporządzać nie mogę...

— No naturalnie, że się pani hrabina musi z córką narodzić; tylko ja powiem pani hrabinie tak: jeżeli jutro do godziny drugiej nie będę miał odmownej odpowiedzi, to o trzeciej, będę tu z Hermanem; jeśli pani hrabina, uzna za stosowne odmówić nam, to się już nigdy nie zobaczymy. A teraz żegnam panią hrabinę, dotąd jestem jeszcze przyjacielem i pragnę nim nadal pozostać.

Hrabina, pożegnała bankiera, a zaledwie się za nim drzwi zamknęły, padła na kanapę, zanosząc się od placzu. Niebawem, Laura weszła do pokoju.

— Mamo, czego mama płacze, proszę się uspokoić; służba posłyszeć może — dodała zamykając drzwi.

— Ach, Lorko, Lorko, co za nieszczęście!... Wyobraź sobie, po co tu był Rosenkranz... Oświadczył się w imieniu swego syna, prosi o twoją rękę!... Jeśli odmówisz, jutro czeka nas nędza; wierzyciele wszystko zabrają; wyrzuca

nas na ulicę... Co robić, co robić!... — mówiła z płaczem załamując ręce.

Panna Laura zmarszczyła brwi.

— Czy doprawdy jest już tak źle z nami?

— Niestety, tak! — odpowiedziała łkając.

— Za parę godzin, dam mamie odpowiedź.

Wyszła i zamknęła się w swoim pokoju. Zostać Rosenkranzową, to cios straszny, ale wyciągać rękę do bogatych krewnych, jak żebraczka, osiąść u nich na łaskawym chlebie, to stokroć straszniejsze. Więc zostanie żoną Hermana. Nie kocha go, ale go też i nie nienawidzi, przeciwnie, musi mu być wdzięczna za tysiączne drobne przyjemności, jakich doznała tej zimy. Zresztą, pieniądź to wielka potęga, a Herman jest tak bardzo bogaty.

We dwie godziny później matka i córka siedziały obok siebie i spokojnie układały warunki kapitulacyi.

Najprzód więc wyjadą zaraz do Paryża po wyprawę, gdzie i ślub się odbędzie, poczem, młoda para odbędzie podróż kilkumiesięczną; przez ten czas stary Rosenkranz wyrestauruje starożytny zamek w dobrach hrabiny, najmie i urządzi mieszkanie w Warszawie, a wszystko z niebywałym komfortem i wytwornością...

Nazajutrz o oznaczonej godzinie zjawił się bankier z synem; pan Herman ofiarował Laurze bukiet z najrzadszych kwiatów, wśród których połyskiwał dyadem brylantowy niezmierniej wartości; jedno i drugie przyjęte zostało z wdzięcznością, a w dodatku serce i ręka młodego człowieka.

Panna Laura, pełna taktu i rozsądku, wyznała Hermanowi, że miłość, jaką dla niego czuła, była niezmierną, że oczekiwała tej chwili z upragnieniem, spodziewała się jej, jako wspólnego ich uczuć i pragnień urzeczywistnienia.

Pan Herman mówił o bogactwach, przepychu, jakim otoczy swoją narzeczoną, jak wszędzie i zawsze ona pierwszą być musi...

Stary Rosenkranz przystał na wszystkie warunki, gdyż te pochlebiały, jego miłości własnej.

W kilka dni później panie wyjechały zagranicę w towarzystwie pana Hermana, oficjalnie uznanego za narzeczonego Laury.

Ślub odbył się z wielkim przepychem w kościele Świętej Magdaleny, na miesiąc przedtem Herman, cichutko przyjął chrzest, co też dla uniknienia późniejszych zachodów uczyniły obydwie jego siostry.

Dzienniki. ogłosiły radosną wiadomość, że hrabianka Laura Skoromecka poślubiła pana Hermana Rosenkranza.

Stary bankier, wróciwszy do Warszawy, zajmuje się dobrami synowej, odnawianiem jej zamku w stylu średniowiecznym; urządza przepyszny apartament w mieście, zaciera ręce i mówi do siebie:

— Pieniądź to wielka potęga, — wszystko za niego można kupić, byle dobrze zapłacić.



bym także, aby pan zamieszkał u mnie, mam pokój, który oddać mogę dla pana.

Stanisław z wdzięcznością przystał na wszystko i nazajutrz o oznaczonej godzinie znalazł się w kancelarii adwokata. Kroński, powitał go przyjaźnie i poszedł oznajmić żonie i synowi, że znalazł nauczyciela.

Minęło dobre pół godziny, nim się ukazał z powrotem, trzymając chłopczynę za rękę. Dziecko było śliczne, ale wątłe i blade, duże niebieskie oczy patrzyły figlarnie i wesoło; wszedłszy rzucił ciekawe spojrzenie na przyszłego pedagoga, a spotkawszy się z rozumnym łagodnym wzrokiem Stanisława, podbiegł żywo do niego; najprzód mu się uklonił, potem zbliżył się i niewiele myśląc objął go za szyję. Stanisław ucałował go i tak odrazu zawarło znajomość.

— Jakże ci na imię?—zagadnął Stanisław—mój mały przyjacielu?

— Mnie Fruś, a panu?

— Stanisław — odpowiedział z uśmiechem.

— A co umiesz? czytać, pisać, rachować.

— O umiem, ale najlepiej po francusku.

— A masz ochotę do nauki?

— Wolę się bawić, ale jeżeli trzeba...

Uczeń i nauczyciel od razu przypadli sobie do serca. Stanisław zajął wskazane sobie mieszkanie; pokój był duży, widny, bardzo wygodnie umeblowany, wejście miało osobne, nie łączył się wcale z mieszkaniem, zajmowanem przez Krońskiego i jego rodzinę.

Młody człowiek zajął się z całą sumiennością swoim obowiązkiem, chłopiec był bardzo zdolny, ale kształcony dotąd dorywczo przez bony francuskie, bardzo rozpieszczony przez matkę, której głównem było zadaniem stroić go w jaknajpiękniejsze sukienki, fryzować włoski i wozić na spacer do Łazienek. Prawie nie rozumiał, czem właściwie była nauka.

V.

**S**taś wrócił do Warszawy zaczął poszukiwania lekcyj — znalazł niezbyt korzystne, jak zwykle z początku roku, martwił się, gdyż mu teraz więcej niż kiedykolwiek, potrzeba było pieniędzy; od ojca nawet na wpis nie wziął, licząc na własną pracę. Siedział pochylony nad książką, gdy zastukano do drzwi.

— Proszę — rzekł Stanisław, nie odwracając się nawet.

— Pan Stanisław Skalski, student z wydziału prawnego? — zapytano.

— Tak, panie — rzekł, zwracając się do wchodzącego, Stanisław.—Czem mogę służyć?

— Adwokat Kroński — rzekł, kłaniając się nieznanemu.—Sprowadza mnie tu do pana interes; mam syna dziesięcioletniego, którego chciałbym za rok w gimnazjum umieścić, poszukuję zdolnego i sumiennego korepetytora, skierowano mnie do pana, czy ma pan kilka godzin wolnych i czy zechce je pan nam poświęcić?

— Z największą chęcią, byle tylko moje godziny wolne mogły być dogodne panu.

Co do warunków, ofiaruję panu pięćdziesiąt rubli miesięcznie za trzy godziny dziennego zatrudnienia; rad

Nadzwyczaj wrażliwy, przylgnął całą duszą do Stanisława i uczył się chętnie, to też postępy robił nadzwyczajne. Kroński ucieszył się tem bardzo, a dla Stanisława, do którego od pierwszej chwili poczuł jakąś sympatyę, nabierał z każdym dniem więcej przyjaźni i szacunku.

Kroński doszedł do majątku własną zasługą, nauką, pracą i wytrwałością. Człowiek bardzo bystrego umysłu, nadzwyczaj miły w rozmowie, nie odznaczał się piękną powierzchownością, raczej brzydkim nazwać go było można, mimo to jednak bardzo podobał się kobietom, może dla tego, że z natury sceptyczny, nie dowierzał żadnej, szydził z uczuć i wesoło bez troski pędził życie, nie mając nigdy zamiaru żenić się. Mijał mu już piąty krzyżyk, gdy na drodze jego życia, stanęła prześliczna dziewczyna.

Do Warszawy przyjechał pewien obywatel, niegdyś dziedzic wielkiej fortuny, którą utracił, resztki rozrywali wierzyciele. Szlachcic, zawikłany w najrozmaitsze sprawy sądowe, zgłosił się do Krońskiego, prosząc, by się zajął przejrzaniem papierów i ratował, co można.

Oddawszy się w ręce zdolnego adwokata, zamieszkał w Warszawie, odebrał córkę z Sacré-Coeur i zaczął prowadzić życie dość wesołe; panna była bardzo piękna, znalazła też wkrótce wielbicieli. Kroński, prowadząc sprawy ojca, miał sposobność poznać Dorę, której piękność zrobiła na nim wielkie wrażenie.

Panna była pełna kokieteryi; Kroński, jako człowiek poważny i wybitnego stanowiska, stał się przedmiotem zręcznych manewrów i ani się spostrzegł, gdy delikatna rączka wprzegła go do swego rydwanu. Tak długo igrał z miłością i nie obawiał się niczego, czuł się więc zupełnie bezpiecznym.

Tymczasem sprawy ojca Dory coraz smutniejszy brały obrót. Gdy się dowiedział, że z całej fortuny pozostaje mu mały folwarczek, gdzie może przy oszczędności żyć z córką, a raczej nie umrzeć z głodu, padł rażony apopleksją i piękna Dora została sierotą, bez opieki i środków do życia. Gdy Kroński, ujrzał ją splakaną, w grubej żalobie, serce uderzyło mu współczuciem, ofiarował jej opiekę, dopóki nie skończy się żaloba, a potem jeźliby kochać go mogła, rękę swoją.

Dora, nie mająca nikogo z krewnych, zamieszkała w domu jakiejś poważnej wdowy. Gdy pierwszy żal minął, panna pomyślała o swoim losie, a wiedząc, że z całego roju wielbicieli, pozostał tylko Kroński, postanowiła oddać mu rękę. O miłości z jej strony nie było co myśleć, ceniła ona nadewszystko powierzchowność w człowieku, a pan adwokat był stary i brzydki. Wdzięczność i szacunek nie powodowały jej wyborem. Z łatwością jednak grała swoją rolę i... jeszcze nie skończyła się żaloba, gdy została żoną Krońskiego.

Kroński kochał głęboko i prawdziwie, otoczył Dorę zbytkiem, urządził apartament wytwornie, trzymał konie, powozy; lubił widzieć ją wystrojoną, zadowoloną, a ufał jej bez granic.

Gdy w parę lat później syn mu się urodził, Kroński był nad wyraz szczęśliwy, miał dwie istoty do kochania na świecie.

Dora, była to kobieta próżna i płocha, otaczała się wielbicielami, weszła w towarzystwa kobiet młodych, lekkomyślnych, owych bogatych próżniaczek, robiących źle, nie dla tego, że je namiętność lub pokusa zbyt silna do złego popycha, ale poprostu dla zabicia czasu, dla rozrywki.

Goldbergowa i jej podobne stanowiły ulubione towarzystwo Dory. Bawiło ją nadzwyczajnie grać ko-

medyę miłości względem starego i brzydkiego męża.— Korzystała z jego łatwowierności, nadużywała jej na każdym kroku, okrywała śmiesznością człowieka poważnego i ze wszech miar godnego szacunku, który jej ufał nieograniczenie.

Synka swego kochała po swojemu; płocha i próżna, szczęśliwa była, że wyglądał ładnie w koronkach i aksomitach. Czy wzięła go na kolana, czy posadziła na taboreciku u nóg swoich, wiedziała, że tak we dwoje, stanowią prześliczny obrazek, pociągający oczy i serca. Wychowała go tak, aby był grzeczny i w salonie znaleźć się umiał; bona francuska, oddawna zajmująca się tego rodzaju kształceniem dzieci, była wystarczającą.

Gdy Fruś skończył lat siedm, ojciec dopominał się, aby go zaczęto uczyć na seryo, pani sprzeciwiała się trochę, tu jednak po raz pierwszy spotkała się z niezłomną wolą męża, który stanowczo oświadczył, że syn jego musi kształcić się w kraju i skończyć gimnazyum. Dora musiała ustąpić; francuzka sprowadziła swego znajomego, starego pedagoga, dającego zwykle lekcye początków paniczom arystokratycznego pochodzenia, ten podług przepisanego przez matkę programu, uczył go bawiac, bawił ucząc, oddając go po tak pożytecznie strawionych godzinach, Pani Fanchon, która wystroiwszy, prowadziła na przechadzkę.

Kroński, wyegzaminowawszy Frusia, odprawił nauczyciela i obiecał sam się zająć wynalezieniem innego; jakoż, dawny przyjaciel i kolega, profesor prawa w uniwersytecie, wskazał mu Stanisława.

Dora, bardzo niezadowolona z nowego trybu rzeczy, daśała się na męża, a nauczyciela nawet widzieć nie chciała; francuzka ciągle znosiła jej plotki, że ten student zamęcza dziecko, że pracować mu każe, że Fruś

ma zawsze po lekcji paluszki tak zawalane atramentem, że domyc je trudno, nawet kwasem cytrynowym.

Fruś, wypytywany przez matkę o swego tyrana, odpowiadał:

— Pan Stanisław jest dla mnie bardzo dobry, uczy mnie i powiada, że za rok będę mógł zdać egzamin do pierwszej klasy, dostanę mundur i czapeczkę z laurową gałązką.

Dora, zadrżała z oburzenia na myśl, że za rok prześliczne złote kędziory jej synka, mają paść pod nożycami, a piękny, wytworny, marynarski kostyum, będzie zastąpiony przez szarą bluzę! I za to wszystko, obiecują mu, że będzie rozumny jak ojciec....

Rozśmiała się złośliwie; rozumiała najlepiej, do czego taki rozum prowadzi... Sprobowała raz i drugi odwieść męża od jego zamiarów co do wychowania Frusia, a pokonana zamilkła, przyrzekłszy sobie zemścić się na ojcu i nauczycielu. Tego ostatniego znała dotąd z opowiadania syna i francuski. Nadarzyła się sposobność poznania go bliżej.

Jednego dnia chłopczyk obudził się z silnym bólem głowy, dano znać matce, zarzuciła na siebie wytworny szlafroczek i pospieszyła do dziecka, usiadła przy jego łóżeczku i posłała po doktora.

Stanisław, nie wiedząc nic o chorobie malca, wszedł do pokoju na lekcję.

Dorę znał z widzenia, zamieniali z sobą ukłon, z jego strony zimny i grzeczny, z jej wyniosły i prawie pogardliwy.

Stanisław chciał cofnąć się natychmiast; Fruś zawołał wesoło:

— A, pan Stanisław, niech pan nie odchodzi, ja wcale chory nie jestem, bolała mnie głowa ale już przestała; wstanę zaraz do lekcji. Dobrze mam?

Malec mówił, a Stanisław, stojąc u wejścia, pierwszy raz miał sposobność przyjrzeć się jego matce. Oko jego z zachwytem spoczęło na pięknym zjawisku.

Dora miała lat trzydzieści dwa, była w pełni rozwoju niepospolitej piękności.

Lekko skłoniła głowę; z pod długich rzęs badawcze wejrzenie topiąc w twarzy młodzieńca. Podziw uwielbienia wyczytała odrazu w wyrazistych oczach studenta, to usposobiło ją do niego, jak na teraz łaskawie...

— Syn mój jest chory — rzekła — uczyć się dziś nie będzie, posłałam po doktora, ale zajęcia domowe wzywają mnie, czy nie zechciałby pan zastąpić mnie na czas jakiś, przysyłę tu niebawem panią Fanchon.

Powstała, skinęła głową i odeszła, ciągnąc za sobą tren bogatego szlafrocza.

Stanisław był oczarowany. Usiadł w milczeniu przy łóżku dziecka; malec zaczął szczebiotać:

— Pan pierwszy raz widział mamę? Podobała się panu? Mama się bardzo wszystkim podoba — pani Fanchon mówi, że mama najładniejsza w negliżu...

Stanisław nic nie odpowiadał, istotnie nie wiedział, jak przerwać ten przedmiot rozmowy, a chłopczyna, przebywający dotąd prawie wyłącznie w towarzystwie kobiet, był niewyczerpany w opowiadaniu o sukniach, kwiatkach, kapeluszach, toaletach balowych...

Na szczęście nadszedł doktor, niebawem zjawiała się i Dora, Stanisław skłonił się i wyszedł.

Choroba chłopca szybko przeszła i po kilku dniach rozpoczęły się na nowo lekcye. Kończył się właśnie rok szkolny; Fruś zdał egramin, a Stanisław przyszedł pożegnać Krońskiego. Zastał właśnie w jego gabinecie Dorę, nadzwyczaj słodką, uprzejmą. Pragnęła wyjechać do Szwajcaryi na parę miesięcy i przyszła do męża, aby mu swój projekt przedstawić.

Kroński dziękował Stanisławowi za jego pracę i prosił, aby po wakacyach wrócił i zajął się nadal Frusiem.

Stanisław z wdzięcznością przyjął propozycję; Kroński uściśnął go jak syna; pani Dora uprzejmie podała rączkę na pożegnanie, mówiąc:

— Mam nadzieję, że pan Stanisław na przyszły rok mniej stronić od nas będzie i zechce czasem w naszym kóteczku rodzinnem przepędzić wieczór, dać nam usłyszeć swą grę na skrzypcach; bo ty może o tem nie wiesz — rzekła, zwracając się do męża, że pan Stanisław, gra jak artysta.

Stanisław zarumienił się po uszy, nie postąpiło mu to w głowie, że piękna pani mogła wiedzieć o tem, że on grywał na skrzypcach w swoim pokoju, a tem mniej, by mogła znaleźć w tej grze upodobanie. Sam nie wiedział, czy był z tego rad, czy też niezadowolony.

Wyjechał na wieś rozmarzony, unosząc w sercu obraz pięknej kobiety.

W Starowoli, wszystko zastał po dawnemu; proces był nieskończony; ojciec smutny, matka blejsza i smutniejsza niż przedtem.

Stefan i Zofia gospodarowali zawzięcie na swojej dzierżawie, powodziło im się dobrze; u rodziców bywali często, a gdy Zosia przyjeżdżała, na czas jej pobytu, ojciec rozpedzał chmury z czoła, matka uśmiechała się jak dawniej, unikano wszelkiej rozmowy, mogącej zasmucić młodych ludzi, i ci byli przekonani, że interesa ojca stały lepiej aniżeli przedtem.

Po spędzonych na wsi wakacyach Stanisław wrócił do Warszawy i zajął się na nowo swoim uczniem.

Stary adwokat kochał go jak syna, lubił z nim długie prowadzić rozmowy, bystry umysł studenta przypominał mu jego młodość, pierwsze kroki, na drodze



do obecnego położenia; postanowił sobie wziąć chłopca w opiekę i ułatwić mu dojście do celu.

Pani Dora, wróciwszy z podróży, przed zaczęciem zimowego sezonu, poświęcała wiele czasu rodzinie, wieczory często spędzała w domu w towarzystwie męża i syna; wtedy i Stanisław przychodził, zajmowano się rozmową, muzyką, śpiewem, te wieczory nabierały coraz większego dla Stanisława uroku.

Dora, była znakomitą komedyantką, umiała być, czem chciała. Stanisław, widział w niej pełną poświęcenia matkę, przykładną żonę, co tem więcej budziło w nim uwielbienia, że Kroński wiekiem i powierzchownością, nie mógł odpowiedzieć wymaganiom młodej i tak wytwornej kobiety. Jakże szlachetną musiała być jej dusza, gdy tak ocenić umiała moralne zalety męża.

Stanisław zbudował ołtarz w swem sercu dla tej kobiety i składał jej cichy hołd uwielbienia; pierwszy to obraz kobiety znalazł w jego umyśle miejsce obok matki i siostry. I powoli jakiś smutek nieznany zakradł się do duszy młodzieńca; pracował, uczył się, zajmował się swym uczniem, ale pomimo tego czuł w sercu próżnię i niepokój; zaczynał nie rozumieć sam siebie; pobladł tracił sen i apetyt. Przypisał ten stan trosce o los rodziców, a jednak czuł, że rzadziej teraz myślą przebywa w Starowoli; jedno wejrzenie, jedno słówko Dory, wprawiało go w jakiś stan błogiego rozmarzenia... Miałaby to być miłość?... kochać żonę swego największego przyjaciela i opiekuna?...

Wytrawna kokietka daleko lepiej od Stanisława, zdawała sobie sprawę z tego, co się działo w jego duszy bawiło ją niesłychanie to uczucie, igrała z niem, rozniecając ciągle zarzewie, ten hołd cichy, platonicznego uwielbienia był dla niej rzeczą nową i bardzo przyjemną; wiedziała dobrze, że stan rzeczy zmieni, gdy zechce.

Kilka osób zebrało się wieczorem w salonie państwa Krońskich; było trochę nudno, rozmowa rwała się co chwila... Dora, posłała służącego do Stanisława, prosząc go, by przyszedł i wziął z sobą skrzypce. Niebawem młody człowiek ukazał się, Goldbergowa zmierzyła go okiem.

— Co to za nowy nabytek, ten Antinous, Doro? — szepnęła.

— To nauczyciel Frusia, dobry bardzo chłopiec, gra ładnie na skrzypcach...

— I kocha się w tobie.

— Co znowu!... zostawiam go na własność Frusiowi, a trzeba ci wiedzieć, że i mąż mój jest w nim bardzo rozmiłowany.

— Ależ to doskonale!... i mieszka tu u was?

— Naturalnie...

— No, przyznaj się Doro...

— Ależ, mówię ci, że nie; pozwalam mu wzdychać, bo to mnie bawi... wiem, że się we mnie zadurzył bez pamięci, lecz udaję, że nie widzę tego zupełnie.

— *Ne joues pas avec le feu!* — zakończyła sentencyonalnie Goldbergowa.

Zaczęła się muzyka, Stanisław na prośbę Dory, zagrał przy jej akompaniamencie, Goldbergowa przesadzała się w pochwałach.

To zebranie usposobiło smutniej niż zwykle Stanisława, usunął się do pustego buduaru i tam zaczął przerzucać kartki albumu Dory, leżącego na stole; wziął go do ręki, wyrysował główkę kobiecą o czystym greckim Dory profilu, otoczył ją gwiazdą, od której biły promienie; niżej wśród cienia nocy widniała ledwie naszkicowana postać mężczyzny, wpatzonego w dziwne zjawisko... pod tym rysunkiem napisał:

„Szukałem cię na łące, gdzie kwiat oko mamy,  
Ale ciebie nie było pomiędzy kwiatami...  
Zgłębiłem perły w morzu — serce o nich śniło,  
Lecz między perłami, znów ciebie nie było.  
Więc smutny, stęskniony, wzrok utkwilem w niebie  
A tam między gwiazdami, ujrzałem i ciebie...  
Do kwiatka, do perły, mógłbym znaleźć drogę  
Lecz na gwiazdkę w niebie, patrzeć tylko mogę“.

Gdy skończył, zamknął książkę z pośpiechem i wysunął się niepostrzeżenie.

Strach wielki opanował serce młodzieńca, co powie Dora, gdy zobaczy; może się obrazi, napomni ostro... ale w wyrazie twarzy pięknej pani nie dostrzegł żadnej zmiany; postępowanie jej względem niego nie zmieniało się wcale. I tak płynęły dni za dniami, rozkoszno-smutne dla młodego człowieka. Dziwna jednak czekała go niespodzianka.

Było to wieczorem, wszedł do pokoju swego ucznia; światło lampy było przyćmione, zawołał na niego po imieniu, nie odbierając odpowiedzi, pomyślał sobie, że chłopca nie ma w pokoju i usiadł w oknie, wpatrzywszy się w niebo gwiazdziste; wpadł w głębokie rozmarzenie. W tem poczuł na ustach gorący pocałunek...

— A znasz ty gwiazdy spadające? zaślepiony marzycielu... — namiętym szeptem ozwał się głos Dory.

Stanisław nie wiedział, czy to sen, czy rzeczywistość, zapomniał o wszystkim; Dora upajała go nieznaną dotąd rokoszą, był tak szczęśliwy, że gdyby mu umrzeć wypadło w tej chwili, uznałby, że jeszcze nie zadrogo godzinę szczęścia opłacił...

Dora po powrocie z zagranicy nudziła się ogromnie, szukała wrażeń, rozmowa z Goldbergową poddała jej myśl tej rozrywki; wyprawiała tedy męża z synem do teatru, a sama pozostała w domu pod pozorem lekkiej, niedyspozycji. I rozpoczęło się dla Stanisława życie nowe

gdy oprzytomniał uczuł się bardzo winnym, względem swego opiekuna. Dora była tak piękną — pokusa była nad siły... gdy jej nie widział, dręczyło go sumienie, chciał uciekać; lecz gdy weszła, spojrzała się, uśmiechnęła się, gotów był nawet popełnić zbrodnię.

Tak przebył miesiąc Stanisław, przebył go wśród rozkoszy i męczarni.

Pewnego wieczora przerabiał Stanisław lekcye na jutro ze swoim uczniem, chłopiec nie umiał, jak należało, kazał mu tedy powtórzyć parę razy, a sam wyszedł do przyległego pokoju. Zdawało mu się, że widzi światło w buduarze Dory, w tej chwili wyobraźnia przedstawiła mu tę ofiarę jego przewrotności, tonącą w smutku i rozpacz, wydaną na straszne wyrzuty sumienia. Zapragnął zobaczyć ją na chwilę, pocieszyć, uspokoić. Przeszedł przez ciemny salon, stanął u drzwi gabinetu i skamieniał ze zdumienia... o uszy jego obił się śmiech i wesoła rozmowa.

— Śmieszny jesteś Konradzie — mówiła Dora — zazdrość twoja jest nieuzasadniona; ten dzieciak naiwny, byłby dobry na ideał dla pensyonarki.

— Daj pokój, Doro, mam przecie doświadczenie; a przytem nie jestem twoim mężem, ten dzieciak, jak go nazywasz, ściga cię wzrokiem tak namiętym... a ty masz serce tkliwe...

Umilkł, Dora zamknęła mu usta pocałunkiem, Stanisław nie mógł się ruszyć z miejsca. Krew gorącą falą uderzyła mu do głowy... Wejść... zabić oboje... szeptała wzburzona namiętność... Zabić?... a jakież miał do tego prawo? Czemu była ta kobieta? Jego kochanką od miesiąca, ale żoną Krońskiego od lat dwunastu... niedość, że go zdradzał haniebnie, miałże jeszcze skandalem okryć dom jego?...

Oprzytomniał; pobladł, chwiejącym krokiem wrócił do pokoju, gdzie spotkał swego ucznia.

— Gdzie pan był, panie Stanisławie? Może pan chciał się z mamą zobaczyć? Mamy niema w domu, poszła do pani Goldbergowej, jeszcze przed przyjściem pana powiedziała mi dobranoc, bo ma wrócić późno.

— Zdawało mi się, że ktoś chodzi po salonie, ale istotnie niema nikogo — rzekł Stanisław, zamykając drzwi z pośpiechem. — Pójdź, wydaj lekcye, czas już, byś się spać położył. Niedługo później chłowczyna leżał w łóżku, Stanisław czekał aż zaśnie... gdy równy i spokojny oddech dziecka oznajmił mu, że śpi, wyszedł, by wrócić do swego mieszkania.

Dora, która właśnie zamknęła drzwi za wychodzącym cichutko Konradem, spotkała się z nim w korytarzu, prowadzącym do wyjścia; zarzuciła mu na szyję ramiona. Stanisław odepchnął ją od siebie.

— Czyś oszalał, Stasiu? — zapytała.

— Nie pani, oprzytomniałem.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że przed godziną byłem u drzwi twego buduaru...

— A to tak?... więc mnie szpiegowalec? ha, ha, ha — zaśmiała się cynicznie — chciałbyś, żebym była wierną małżonką?... cóżby ci z tego przyszło?...

— Dobranoc pani — rzekł Stanisław i wyszedł.

W głowie mu wrzało; szalał, rozpaczał, taki zamęt myśli i wrażeń pokonał go wreszcie; nad ranem padł na łóżko nie rozebrany, był zupełnie nieprzytomny.

Gdy wszedł rano do niego służący, przeląkł się wyrazu jego oczu; napróżno pytał, Stanisław miał zęby zaciśnięte i nie odpowiadał ani słowa. Zawiadomiony Kroński natychmiast wpadł do pokoju, posłał po doktora,

pomógł rozebrać i położyć do łóżka chorego, usiadł przy nim i śledził niespokojnie groźny stan młodego człowieka.

Doktor, zbadawszy chorego, znalazł, że to było zapalenie mózgu, przepisał środki energiczne, a chory miał się nieprzytomnie, bezładne namiętne rzucając wyrazy, wśród których najczęściej powracały słowa: Zabić, zabić!... Po kilku dniach wróciła przytomność, ale razem Stanisław poczuł się bardzo osłabionym, Kroński pielęgnował go, jak własnego syna, zdawało się, że troska o zdrowie młodego człowieka zwiększyła jego przywiązanie. Dora uśmiechała się złośliwie, patrząc na męża, słuchała z wyrazem politowania sprawozdań o jego zdrowiu i pochwał, których przy każdej sposobności nie szczędził dla Stanisława. Kiedyś widząc, go zmartwionym pogorszeniem choroby, rzekła:

— Nie rozumiem doprawdy, dla czego ty się tak martwisz, to człowiek obcy, można mieć dla niego współczucie, ale nie do tego stopnia.

Miesiąc trwała choroba, poczem nastąpił bardzo szybki powrót do zdrowia, z miłości dla Dory pozostała się jakaś gorycz rozczarowania, współczucie i nadzwyczajne przywiązanie do jej męża. Kroński nazywał studenta Stasiem, a ten często całował go w rękę jak ojca.

Teraz wziął się do pracy Stanisław, potrzeba było odzyskać czas stracony. Nadeszły egzamina, te jak zwykle poszły świetnie. Trzy lata studyów w Warszawie przeszło, miał wyjechać na rok do Petersburga; Kroński ofiarował mu i tam swoją protekcję — a że mu właśnie w jakimś interesie wypadła podróż do Petersburga, zabrał z sobą Stanisława, polecił gorąco znajomym, wynalazł mu zajęcie, a żegnając go, powiedział:

— Teraz, kończ tylko naukę, wzacaj z dyplomem do Warszawy, prosto do mnie, zajmiesz swoje dawne mieszkanie, pracować będziesz tymczasem u mnie i po-

staramy się o to, abyś jaknajprędzej o własnej stanął sile.

Stanisław nie tracił czasu, po roku zdał ostateczne egzamina, i z sercem pełnem świątecznych na przyszłość nadziei, przyjechał do Warszawy. Pospieszył najprzód do Krońskiego; zastał go złożonego śmiertelną chorobą i w kilka dni później odprowadził zwłoki jego na wieczny spoczynek.

Bardzo smutny i zgnębiony wyjechał do Starowoli. I tu na niego smutne czekały wiadomości; lat kilka trwający proces z sąsiadem, zakończył się nareszcie, Skalski go wygrał, ale był zupełnie zrujnowany, Starowola miała być wystawiona na licytację, na co chciwie oczekiwał Salomonowicz, aby zemstę swoją nasycić do woli.

Stefan, dowiedziawszy się o rozpaczliwym położeniu teścia, nie zawahał się ani chwili, odstąpił intratną dzierzawę, pościągał skąd tylko się dało pieniądze, oczyścił z długów wioskę i przeniósł się z żoną do Starowoli, gdzie oddał się pracy z całą energią i poświęceniem.— Skalski wśród trosk lat ostatnich zaniedbał trochę gospodarstwa, trzeba było zaprowadzać reformy... długi pochłonęły wszystkie zapasy pieniężne, rozsądek zmuszał do oszczędności, kłopoty finansowe chmurzyły czoło młodego gospodarza, ale przywykł pokonywać żelazną wolą i wytrwałością wszelkie przeszkody, a że kochająca żona i mała Helcia umilały mu życie, przy nich znajdował wypoczynek po trudach i szczęście domowe.

Skalski od roku był chory, stan jego wymagał ciągłego pielęgnowania, to też Zofia starała się w zajęciach domowych zastępować matkę, której obecność najwięcej koła cierpienia chorego.



## VI.

aledwie parę tygodni zabawiwszy w Starowoli, Stanisław pospieszył do Warszawy, aby znaleźć zajęcie.

Na każdym kroku brak zacnego opiekuna dawał mu się uczuć dotkliwie.

Dzień każdy nowy przynosił mu zawód, gdziekolwiek się udał, odmowna spotykała go odpowiedź. Położenie jego stawało się coraz krytyczniejsze, zaczynał już wątpić o sobie i szukać korepetycyi, by na chleb powszedni zarobić. Pewnego dnia wpadł do niego dawny kolega z wiadomością, że bankier Rosenkranz poszukuje młodego prawnika do przejrzania i uporządkowania różnych papierów.

— Zajęcie to czasowe i pewno nieszczególnie będzie wynagrodzone, stary żyd słynie ze skąpstwa, ale jeślibyś mógł sobie go zjednać, zyskałbyś protekcję. Stanisław podziękował koledze i udał się do bankiera.

Stary Rosenkranz nie ruszył się, nie podniósł nawet głowy, gdy młody człowiek wszedł do gabinetu.

Stanisław zatrzymał się u wejścia; krew uderzyła mu do głowy, pokraśniał jak mak polny; zmarszczył brew. Stary patrzył przez chwilę na niego, przymru-

żywszy jedno oko. Poczem spojrzął na bilet, który miał w ręku.

— Pan Skalski? — zapytał.

— Tak, odpowiedział Stanisław.

— Czy pan ma do mnie jaki interes?

— Skończyłem wydział prawny w Perersburgu, poszukuję odpowiedniego zajęcia, skierowano mnie do pana... zdaje się, że mylnie... przepraszam... — dodał chcąc coby prędzej opuścić gabinet bankiera.

— No, nie; proszę usiąść, może ja znajdę dla pana zatrudnienie. Ale pan straszny gorączka, a kto chce zrobić jaki interes, musi przedewszystkiem nauczyć się cierpliwości...

Stanisław usiadł i czekał.

— A dla czego pan nie idzie na dependenta do którego z adwokatów tutejszych? — zapytał bankier.

— Bo straciłem w osobie adwokata Krońskiego przyjaciela i protektora, który miał pokierować przyszłością moją... a teraz napróżno zgłaszam się do różnych kancelaryi; wszędzie miejsca zajęte... ale to nic nie należy do naszego interesu...

— Pan się myli, panie Skalski, pan jest jeszcze bardzo młody i strasznie prędki, to przejdzie z czasem... a ja panu dam zajęcie właśnie dla tego tylko, że Kroński pana protegował. To był człowiek rozumny i znał się na ludziach; pan musi być coś wart, kiedy on pana lubił... Otóż potrzeba mi tu kogoś do uporządkowania bardzo ważnych papierów, tu pod moim okiem; zajęcia będzie może na pół roku, może na dłużej; dam panu panu pięćdziesiąt rubli na miesiąc. Proszę przyjść jutro o godzinie dziewiątej rano — ja lubię akuratność i porządek.

— I ja również — rzekł Stanisław, ukłonił się i wyszedł.

Miał już tedy zajęcie, prawda, że tylko chwilowe, Rosenkranz wydał mu się antypatycznym, zapłata była nędzna, ale potrzeba nagła, szczupłe zapasy pieniężne były zupełnie wyczerpane, a o pomocy od rodziców nie było co myśleć.

Nazajutrz o dziewiątej Stanisław znalazł się w gabinecie bankiera.

— Pan jest akuraty, to dobrze, ja to bardzo lubię — proszę pana przejść do tego pokoju obok, tam pan będzie pracował, ja panu zaraz wydám papiery.

Stanisław wszedł, obejrzał się w około; pokój był dość duży, widny i nie łączył się z żadnym innym, jedyne drzwi, jakie posiadał, prowadziły do gabinetu bankiera. Usiadł przed biurkiem, niebawem zjawił się i Rosenkranz.

Otworzył szafę, wyjął z niej zwój papierów i położył przed Stanisławem.

— Proszę to przejrzeć, ułożyć, jak się należy uporządkować, napisać w skróceniu opinię i jak będzie gotowe pokazać mi.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi gabinetu, te jednak miały w górze okienko zręcznie wśród rzeźby ukryte przez które śledził postępowanie młodego człowieka.

Stanisław natychmiast zabrał się do pracy; papiery traktowały o jakimś zawikłanym procesie; bezładnie poskładane akta świadczyły że różne ręce czyniły w nich poszukiwania według potrzeby. Przedmiot zajmował go ogromnie, to też siedział zatopiony w pracy, przez kilka godzin, nie podnosząc od niej głowy.

Rosenkranz wszedł; Stanisław go nie spostrzegł, nie odwrócił się nawet.

— Pierwsza godzina, panie Skalski — czy pan nie

idzie na śniadanie, wszyscy moi urzędnicy wychodzą o dwunastej, a potem wracają i pracują do piątej.

— Przyznam się panu, że zupełnie nie myślałem o tem; znalazłem ten zwój papierów w takim nieładzie... co chwila rwie się watek sprawy i traci się wiele czasu na poszukiwanie potrzebnego dokumentu.

Rosenkranz okiem znawcy popatrzył na rozpoczętą robotę młodego człowieka i odrazu poznał, że miał do czynienia z człowiekiem bardzo zdolnym i sumiennym. I tak, od pierwszej chwili zyskał sobie uznanie swego pryncypała Stanisława.

Gdy minął miesiąc, Rosenkranz, doręczając kwit do kasy Stanisławowi, dopisał na nim dwadzieścia rubli tytułem gratyfikacji.

— Panie Skalski — rzekł — ja jestem człowiek sprawiedliwy, pan pracuje, a ja umiem ocenić pracę. Wiem też, że się panu nieszczególnie powodzi; ojciec pański chory ze zmartwienia, bo go Salomonowicz do ostatecznej ruiny doprowadził; gdyby nie pan Rożański, byłoby jeszcze gorzej. Ale po co też to było ojcu zadzierać z takim Salomonowiczem, to bardzo zły człowiek... w Warszawie każdy go unika, a kłania się zdaleka. To mądry człowiek, z takim nie mierzyć się szlachcicowi, choćby tak był uczciwy, jak ojciec pański.

Stanisław ze zdziwieniem patrzył na swego pryncypała.

— Skądże tak dobrze są panu znane nasze interesy rodzinne? — zapytał.

Rosenkranz uśmiechnął się z zadowoleniem.

— No, czego ja nie wiem?... O, pan jest młody i nie rozumie tego, że kto ma takie jak ja stosunki, musi dużo o ludziach wiedzieć.

Od dnia tego stary bankier coraz więcej sympatyj okazywał Stanisławowi, a i ten polubił go, ceniąc w nim

niezmierną bystrość umysłu i sprawiedliwość. Wreszcie pocziwe serce młodego człowieka zawsze było gotowe odpowiedzieć wdzięcznością za życzliwość.

Tak minęło parę miesięcy. Pewnego dnia Rosenkranz zagadnął Stanisława.

— Czy pan ma dziś wolny wieczór? Chciałem prosić pana do siebie na herbatkę. Pogawędzimy sobie swobodnie, nie będzie prócz pana nikogo. Proszę przyjść wcześniej.

Stanisław się skłonił; rad nierad musiał przyjąć zaproszenie, chociaż nie uśmiechał mu się wcale ten stosunek z bankierem.

Gdy przyszedł, stary przyjął go bardzo grzecznie, nawet serdecznie.

— Bardzo mnie to cieszy, że pan przyszedł, na starość coraz przyjemniejsze człowiekowi domowe ognisko, ale u mnie teraz straszna pustka; Herman się ożenił, Salomea wyszła za męża, zostałem się sam z moją Elizą; to takie dobre, kochające dziecko, ale nie lubi wielkich zebrań i często tak sobie we dwoje spędzamy wieczory... otóż i ona, poznamię was... — i przedstawił Stanisława córce.

Ten zdziwił się, widząc przed sobą kobietę tak brzydką, małego wzrostu, tęga, miała pleć śniada, nos gruby i garbaty, wargi murzyńskie, włosy czarne kręcone... Machinalnie dotknął podanej ręki.

— Mówiłem ci, Elizo — rzekł bankier — że pan Skalski gra ładnie na skrzypcach, pewno nam nie zechce odmówić i dacie mi tu koncertik. Czy dobrze panie?

— I to panu wiadomo, że grywam na skrzypcach?

— Ha, ha, ha — zaśmiał się stary — że ja też pana nie mogę przyzwycząić do tego, że wiem wszystko, czego mi tylko potrzeba. Jakże pan mógł mnie posądzić

o taką naiwność, żebym powierzał papiery tak ważne w ręce pierwszego lepszego młodego człowieka. Gdy przed panem położył pierwszy zwój papierów, znałem już wszystkie najdrobniejsze szczegóły życia pańskiego, a że w niem nigdzie nie było plamy, oddałem panu w ręce te akta, nad którymi pan ślęczy od kilku miesięcy:..

— Jednak co do mojej gry na skrzypcach jest pan źle poinformowany, jestem bardzo słabym wykonawcą; choć muzykę lubię i pojmuję, nie miałem czasu ani środków, by rozwinać zdolności moje... jeśli je miałem kiedy... Zresztą nie mam skrzypców z sobą.

— Na to jest rada; są tu u nas doskonale włoskie skrzypce, kupiłem je niegdyś dla Hermana, ale ten niema zamiłowania do muzyki. Pan zna mego syna? Dwa lata temu ożenił się z hrabianką Laurą Skoromeką i wielki dom prowadzi w Warszawie. Najpierwsza arystokracja bywa na jego zebraniach, a Lorcja zawsze wygląda jak królowa... Nieprawdaż Lizo?..

— Tak, ojciec—rzekła roztargniona, a zwracając się do Skalskiego:

— Chodźmy do fortepianu, skoro pan lubi muzykę, wybierzemy jaki kawałek i zagramy razem.

Na pulpicie rozłożone były nuty do śpiewu.

— Pani śpiewa?—zapytał Stanisław.

— Trochę, ale nieszczególnie—odrzekła.

— Niech pani co zaśpiewa, aby mi dodać odwagi.

— Nie będę się drożyła, bo niema z czem, wreszcie, chcę panu dać dobry przykład.

I w tejże chwili z grubych, brzydkich ust, popłynęły prześliczne tony. Głos miała piękny, silny i dziewczęcy, metodę znakomitą. Stanisław słuchał zachwycony. Gdy skończyła rzekł:

— Gdybym grał tak, jak pani śpiewa, zostałbym z pewnością artystą, a nie prawnikiem, byłoby to dla

mnie ze wszech miar przyjemniejsze i korzystniejsze zajęcie—dodał z westchnieniem.

— A teraz na pana kolej—rzekła Eliza, podając mu skrzypce.—Co mam akompaniować?

Stanisław wybrał nuty, nastroił skrzypce, Eliza uderzyła w klawisze, instrument był doskonały—Eliza wybornie akompaniowała, Stanisław namiętnie lubił muzykę... i ani się spostrzegli, jak parę godzin przeszło im przy fortepianie.

Stary Rosenkranz siedział w milczeniu z nawpół przymrużonemi oczyma, zasłuchany, zadowolony zupełnie.

Nakoniec Eliza powstała.

— Ojciec, już czas na herbatę.

— Jaby się codzień zrzekł herbaty, żebyście mi tak grać chcieli. Panie Skalski, z pana jest dziwny człowiek, że do czego się pan weźmie, to robisz dobrze. Pan mówi, że się nie uczył—a gra jak artysta. Ale i moja Lizka też dobrze gra i śpiewa pięknie, nieprawdaż?

Stanisław chwalił z głęboką prawdą w głosie talent i wysokie zdolności artystyczne panny Elizy. Po herbacie Stanisław pożegnał bankiera i jego córkę, chętnie przyjmując ich zaproszenie. I wracał do domu cały zajęty dziwnymi zagadnieniami życia. Ten stary żyd przebiegły i próżny, przepędzający życie wśród kombinacji finansowych, słuchający namiętnie najszlachetniejszych, najdelikatniejszych objawów duszy ludzkiej; ta, prawie potwornej brzydoty dziewczyna, wzrosła wśród atmosfery próżności i interesu, pojmująca tak wzniosłe muzykę, mająca głos tak harmonijny i szlachetny...

Schylił głowę i pomyślał. Próżne są wszelkie badania i kombinacje uczonych, w nas i w około nas znajdują się tysiące niezbadanych fenomenów.

Odtąd Stanisław stał się częstym gościem w domu Rosenkranza; stary coraz więcej okazywał mu życzliwości, panna Eliza traktowała go po przyjacielsku, a i on przywykł wkrótce uważać tę brzydką dziewczynę za coś pośredniego pomiędzy kobietą a przyjacielem. Grywali z sobą bardzo chętnie, lub też długie prowadzili rozmowy.

Szafa z papierami zapełniała się porządnie ułożonymi, ponumerowanymi kartonami, i Stanisław widział z obawą, że koniec jego zatrudnienia blizki. Teraz brał już sto rubli miesięcznie i połowę zarobionych pieniędzy odsyłał rodzicom. Nareszcie, biorąc ostatni zwój papierów do ręki, zapytał Rosenkranza.

— Czem ja się zajmę, panie, gdy tę ukończę robotę?...

— No, niema o to obawy, panie Stanisławie, dla takiego jak pan pracownika, znajdzie się zawsze robota w moich biurach. Ale pana szkoda do tego. Pan powinien teraz otworzyć kancelaryę, nająć mieszkanie, umeblować je pięknie, obronić darmo kilku złodziei lub rozbójników, pokazać ludziom, co pan umie i zostać sławnym adwokatem.

Stanisław smutno popatrzył na bankiera.

— Do czego to szyderstwo, panie Rosenkranz? Pan tak dokładnie poinformowany o mnie i mojej rodzinie, nie może nie wiedzieć, że przedewszystkiem na doprowadzenie do skutku tak świetnych projektów, potrzebne są znaczne fundusze, których nie posiadam.

— No, niech się pan nie gniewa, ja żartowałem... a jednak, czy pan o tem nie myślał, że nabycie majątku dla młodego człowieka, nie jest przecie rzeczą tak trudną... można się bogato ożenić...

— To już nie wchodzi zupełnie w rachubę mojej przyszłości, nie czuję w sobie powołania do małżeństwa.

Na tem skończyła się rozmowa. Po ukończonej robocie Rosenkranz dał Stanisławowi posadę dość dobrze płatną.

Młody człowiek pracował i oszczędzał, żywiąc nadzieję, że kiedyś zdoła dojść do upragnionego celu.

Z Elizą widywał się prawie codzień, rozmawiał z nią jak z przyjacielem. Eliza ciekawie badała, jaki jest stan jego serca i nie dziwiło go to wcale, wiedział, że dla każdej kobiety zajmowanie się kwestyą uczuć jest najprzyjemniejsze, ale na te pytania odpowiadał nieodmiennie czasem z wesołym a czasem z gorzkim uśmiechem, że jest swobodny jak ptak, ale że kochać wielką miłością nie jest już w stanie.

Eliza domyślała się jakiegoś rozczarowania, ale nic nad to dowiedzieć się nie mogła.

Znała natomiast życie Stanisława od urodzenia; rodziców, siostrę, szwagra, Starowolę i wprowadzona w to koło zupełnie obce, znajdowała w niem urok niewysłowiony.

Jakże szczęśliwemi wydawali się jej ci ludzie, żyjący wśród pracy, kłopotów... ale kochający się tak szczerze, mający takie pojęcia o cnocie, honorze, obowiązkach. Jak o łaskę prosiła czasem Stanisława, by jej list od matki lub siostry przeczytał i ukradkiem ocierała lzy rozrzewnienia.

Chociaż Eliza była bardzo brzydka, nie brakło jej konkurentów, wszak posiadała milion posagu. Serce tkliwe i wysokie uzdolnienie artystyczne, to były dodatki zbyteczne, o które panowie, ubiegający się o jej względy, nie dbali.

Stary Rosenkranz dziwił się, że córka jego była taka wybredna.

— Kogo ty chcesz, moja Lizko?—pytał—ja cię nie nagłę do wyjścia za mąż, bo nam dobrze razem, a męża



ja ci kupię, abyś tylko wybrała. Twój tata jest bardzo zrzeczny człowiek, kiedy Hermana z hrabianką ożenił, a Laura...

— Jest zimną i niedobłą kobietą, mój ojciec.

— Co ty mówisz, Lizo? Herman jest z nią bardzo szczęśliwy. Taka wielka pani... A co za gust... Jak się pięknie ubiera... Herman jest bardzo szczęśliwy!

— Tak, bo dla niego to dosyć, jak i dla Salomei, która ma herby na powozach, na biletach wizytowych, na meblach i odrzwiach. Obojętne to dla niej, że mąż gra w karty, robi długi, które ty płacić musisz, ojciec... Siostra moja szczęśliwa, a jabym się otrula z rozpacz...

— No, za baronem ja się ujmować nie będę, nie mało mnie on zmartwienia i pieniędzy kosztuje... On się nie szanuje, on długo nie pożyje, a Sali zostanie się tytuł i herby...

— Dla mnie to rzeczy bez wartości.

— A cóż tobie potrzeba?

— Wartości moralnej, cnoty, honoru, cichego domowego ogniska.

— No, jak ty się odrodziłaś od nas, ja nie rozumiem...

Przegrawszy jakąś długą sztukę, Stanisław usiadł, aby wypocząć, Eliza pozostała przy fortepianie, grała z pamięci, patrząc na młodego człowieka. Dostrzegła, że był ciężko strapiony; zapadł w tak głęboką zadumę, że nie spostrzegł nawet, gdy Eliza przestała grać i usiadła obok niego na kanapie.

— Co panu, panie Stanisławie?—zapytała.

— Ojciec mój chory—odpowiedział.—Zmartwił się ciężko, to pogorszyło stan jego. Wszystko było na księgosusz padło... Biedny Stefan! co też on na głowę swoją nabral kłopotów, wchodząc w naszą rodzinę... Posłałem mu natychmiast z trudem zebrane tysiąc rubli...

ale to znów cofa chwilę, gdy rodzicom z radykalną będę mógł przyjść pomocą...

— Panie Stanisławie—rzekła cichutko Eliza—pan wierzy w moją przyjaźń? Wszak i pan ma dla mnie trochę... współczucia... Wiem, że to co powiem, jest niestosowne... nie powinnam tego mówić... ale panie Stanisławie, ja pana bardzo kocham... wiem, że jestem brzydka, miłości wzbudzić nie mogę... ale dla mnie przyjaźń wystarczy... ożeń się pan ze mną, wniose ci ogromny majątek... dla rodziny swojej zrobisz, co zechcesz, rodzicom spokojną zapewnisz starość. Zostaniesz najślawniejszym adwokatem, a ja... ja będę szczęśliwa szczęściem twojem i tem, co mi sam zechcesz z serca swego udzielić... Czy dobrze, panie Stanisławie?

Stanisław zbladł i dopiero po chwili rzekł stłumionym głosem.

— Strasznie mnie pani zasmuca, panno Elizo; czuję, że przez usta pani przemawia szczere uczucie, cenię je, wdzięczny pani jestem, więcej niż wyrazić jestem w stanie... ale korzystać z propozycji pani, nie mogę. Pominąwszy uczucia miłości, którego może już nigdy w życiu nie doznam... zawarcie związków małżeńskich, dla tak olbrzymiej korzyści materyalnych, jest dla mnie niemożliwym...

Biedna dziewczyna lzy miała w oczach.

— Przebacz pani, jeśli cię obraził Nikt więcej nademnie nie może cenić twoich zalet, przymiotów serca i duszy. W tej chwili przyrzekam ci przyjaźń dogonną, której nic nie zmieni, na którą w każdej chwili liczyć możesz. Wierzaj mi, że nie mógłbym być dobrym mężem. Będziemy przyjaciółmi, nieprawdaż?...

— Nie wiem—rzekła, ocierając lzy Eliza—zanadto cierpię—do widzenia, panie Stanisławie...

Skinęła mu głowę i wyszła z pokoju.

Stanisław był smutny, zgnębiony. Żał mu było tej biednej dziewczyny; gdyby nie była tak bogatą, kto wie, czyby nie uległ urokowi tak serdecznego i głębokiego uczucia...

Tydzień przeszedł, Stanisław nie pokazał się w domu bankiera.

Pewnego dnia otrzymał od Elizy kartkę z zaproszeniem.

Zaraz u wejścia spotkał Elizę, widocznie czekała na niego. Błada była i smutna.

— Wyjeżdżam na kilka miesięcy do Szwajcaryi, chciałam pożegnać się z panem, przyjmuję ofiarowaną przyjaźń, nawzajem daję panu moją — tak może będzie lepiej, nie zawiedziemy się oboje.

Stanisław szczerze uściśnął podaną rękę.

— A teraz, panie Stanisławie, niech pan pójdzie do mego ojca; chciał się z panem rozmówić, jak się skończy konferencya, proszę do fortepianu, zagramy jeszcze na pożegnanie.

Gdy Stanisław wszedł trochę zmieszany do gabinetu bankiera, ten powitał go bardzo uprzejmie.

— Niech pan siada, panie Skalski. Biedna moja Lizka, wszystko mi opowiedziała, mnie jej żal i... mówiąc między nami, jabym gotów był dużo zrobić koncesyi, żeby pan się chciał jeszcze namyślić. Ja się nie dziwię Lizce, bo ja sam się także w panu kocham.

— Panna Eliza jest najszlachetniejszą istotą, jaką znam na świecie i godna jest być kochaną dla swych zalet niezaprzeczonych...

— No, więc...

— Ale ja jej nie kocham... mam dla niej przyjaźń, najwyższy szacunek, ale to za mało do małżeństwa...

— Bardzo to dla mnie przykro... stary jestem, a pierwszy raz spotkałem takiego, którego kupić nie mo-

zna. Posłuchaj pan, myśmy z Lizką uradzili, że nie może być, żeby się pan tak dalej marnował... Ja wiem, że pan zabrał z kasy te mozolnie uzbierane tysiąc rubli i posłał do Starowoli. Ja panu pożyczę dziesięć tysięcy, to dosyć na rozpoczęcie adwokackiej karyery; odda mi je pan potrochu, czy razem, jak mu będzie dogodniej. Nie godzi się, żeby marniały zdolności pańskie dla tego, że się pan nie chciałeś ożenić z córką Rosenkranza.

Stanisław nie spodziewał się wcale takiego zakończenia sprawy, czuł w tem wszystkim działanie poczciwej Elizy, której dusza o tyle była piękną, o ile ciało brzydkie. Myślał o niej z wdzięcznością i smutkiem głębokim.

Podziękował bankierowi, przyjął ofiarowaną pożyczkę, uznając jednak pięć tysięcy rubli za wystarczające, więcej brać nie chciał. Uściśnąwszy rękę bankiera, wszedł do salonu. Przed fortepianem zastał siedzącą Elizę, na pulpicie rozłożone były nuty, skrzypce leżały obok.

Spojrzał: był to marsz żałobny Chopin'a. Parę godzin zeszło im przy muzyce, potem Stanisław ucałował rękę Elizy, pożegnał ją serdecznymi słowami i wyszedł. Gdy się drzwi za nim zamknęły: Eliza załamała rękę.

— Jakże mi wstrętny dziś mój majątek, gdybym zamiast niego miała trochę urody — byłabym stokroć szczęśliwsza.

I zapłakała biedna dziewczyna.



aki odczuwał po jego stracie, zniewalały go do usunięcia się od świata i życia towarzyskiego, jakie dotąd prowadził.

Teraz owładnęła sercem jego jakaś tęsknota, coś, czego zwyciężyć nie mogła ani praca, ani znużenie, jedynie tylko gra na skrzypcach. Często przychodziła mu na myśl pierwsza miłość i pierwsze rozczarowanie. Od chwili, gdy tak smutno zakończył się jego stosunek, raz tylko zobaczył Dorę. Było to na pogrzebie Krońskiego, wyglądała bardzo pięknie, czarny kolor był jej do twarzy. Zalana była łzami, ale Stanisław wiedział, że łzy jej były kłamstwem, postać, niby zgięta cierpieniem, wystudyowaną może przed lustrem pozą. Skłonił się przed nią, gdy wychodziła z cmentarza, Alfreda ujął pod rękę i nie opuścił aż przed domem, zapewnił go o swej przyjaźni, prosił, by go odwiedzał i w każdej trudnej chwili udawał się do niego o pomoc i radę.

— Pamiętaj, Alfredzie—dodał, ściskając go serdecznie—gdziekolwiek, kiedykolwiek zawezwiesz mojej pomocy, porzucę wszystko, by do ciebie pośpieszyć; a będzie to z mojej strony nie poświęcenie, lecz spełnienie obowiązku.

Pani Krońska trzy lata jeszcze zabawiła w Warszawie; Alfred odwiedzał rzadko kiedy swego przyjaciela, Stanisław zawsze dawał mu zbawienne rady, tylko wszelkie zapraszania Stanisława od siebie i matki były próżnemi. Młody człowiek nigdy progę Dory nie przestąpił. To ochłodziło stosunki jego z Alfredem. Gdy skończył gimnazyum, matka wyjechała z nim za granicę.

Dziesięć lat minęło od śmierci Krońskiego, a Stanisław od dawna nie miał już od Alfreda wiadomości, smuciło go to, bo czuł, że taka matka jak Dora, zgubić może przyszłość syna. Czuł, że powinien czuwać nad nim, ale nie widział sposobu, jakby to uczynić.

## VII.

**S**tanisław Skalski otworzył kancelaryę; jego niepospolite zdolności, przyjaźń starego Rosenkranza, który naprawdę kochał niedoszłego zięcia, w krótkim czasie zjednały mu wziętość. Niezłomnej cnoty i uczciwości, bardzo biegły prawnik, mile widziany w towarzystwach, uprzejmy, wesół, dowcipny, był przedmiotem licznych zabiegów matek, mających córki na wydaniu. Pan Stanisław był doskonałą partyą, pomimo tego żenić się nie myślał.

Po kilku latach choroby umarł ojciec Stanisława. Zawezwany do konającego syn pośpieszył otrzymać błogosławieństwo; ojciec powierzał jego opiece żonę i wioskę rodzinną.

— Pamiętaj, Stasiu—mówił—szanuj ten zakątek, nie zapominaj, że moje kości tu spoczną.

Ze czcią i łzami szczerego żalu złożono zwłoki zacnego człowieka do grobu.

Stanisław miesiąc cały przepędził w Starowoli, wreszcie, gdy go zajęcia ważne powołały do miasta, z trudnością przyszło mu opuścić matkę.

Po powrocie czekało go wiele pracy; wziął się do niej z całym zapalem... Żaloba po ojcu i szczerzy żal,

Wszedłszy do kancelaryi, Stanisław rzucił okiem na stolik, gdzie składano codzien listy i gazety, ogromna żalobna koperta zwróciła jego uwagę; było to zaproszenie na pogrzeb hrabiny Skoromeckiej, której zwłoki przywiezione z zagranicy, miały spocząć na Powązkach.

Od chwili, gdy córkę wydała za Rosenkranza, hrabina ani razu nie odwiedziła kraju. Dumna kobieta czuła się bardzo upokorzona tym związkiem, chociaż korzystała chętnie z majątku zięcia i żyła bardzo wystawnie. Nieraz zżymał się pan Herman, gdy musiał płacić długi teściowej, której dość znaczna pensya nie wystarczała, ale gdy ośmielił się sarknąć na to przed żoną, Laura, choć niezadowolona z postępowania matki, zmarszczeniem brwi i lekkim napomknieniem o obowiązkach, jakie wysokie urodzenie wkłada na ludzi, w jednej chwili doprowadzała do porządku burzącego się małżonka. Nie przeszkadzało jej to wcale napisać list do matki z ostreymi wymówkami.

Hrabina odpisywała wyniośle, nazywając postępowanie córki parweniuszowską meskineryą. Tego rodzaju korespondencya nie wpływała bynajmniej na rozwijanie się tkliwych stosunków między matką a córką; zbyt niemi przywiązaniem i czułością nie odznaczały się one nigdy, ale interes ściśle je łączył; dziś, gdy i to ustało, zachowały pozorny, wystarczający dla świata stosunek. Laura co rok, gdy wyjeżdżała za granicę, nie omieszkwała odwiedzić matki, bawiła nawet u niej przez tydzień lub dwa, a wtedy bywały razem w teatrze i na zebraniach, poczem rozstawały się równie zimno i obojętnie, jak witały.

Pan Herman nie kochał żony, była mu ona jednak drogą, jak klejnot wielkim kosztem nabyty. Żona była bardzo wielką panią, tak dumną i wyniosłą, że on sam bał jej się trochę. Rodzinę jego traktowała lekko, ciotki

Goldbergowej nie przyjmowała wcale, utrzymując, że być żydówką i kobietą lekkomyślną, to za wiele, jak na osobę, mającą pokazywać się w jej salonie. Z siostrą baronową widywały się dość często, serdecznie nienawidząc się nawzajem i rywalizując w zbytkach i przepychu. Herby męża Salomei irytowały panią Hermanową, wreszcie obmyśliła i na to sposób. Gdy jej się syn urodził, z łatwością namówiła męża, aby sobie kupił tytuł barona, pomału służba, urzędnicy, interesanci, zaczęli Hermana tak tytułować, widząc, że mu tem robią wielką przyjemność, w rok później wymalowano podwójne herby i korony na ekwipażach, a w końcu i sam Herman tak się do tytułu tego przyzwyczaił, że zaczął wierzyć, że się baronem urodził.

Stary Rosenkranz mrużył to jedno, to drugie oko, gładził siwą brodę z uczuciem głębokiego zadowolenia, przyglądając się wszystkiemu, co widział w domu syna, synowę z rozkoszą Lorcią nazwał, przynosił jej w prezencie najpiękniejsze biżuterye, bardzo rad i prawie wdzięczny, gdy pochwaliła gust jego. Laura miała dwóch synów, kochał ich do szaleństwa; gdy przychodzili odwiedzić go z boną angielką, obsypywał ich prezentami, pozwalał im na wszystko, „aby tylko choć trochę dziadzie swego kochali“, mawiał.

Po kilkumiesięcznym pobycie w Szwajcaryi Eliza wróciła do ojca, Stanisława przywitała serdecznie, na nowo rozpoczęła się muzyka i poufne gawędy, wśród nich Eliza coraz więcej objawiała chęci, by osiąść na wsi daleko od tego gwarliwego świata, który dla niej stracił wszelki urok od chwili, gdy się przekonała, że na nim wszystko kupić można, prócz szczęścia i zadowolenia wewnętrznego.

Skalski wśród swej klienteli miał pewnego szlachcica, liczył on już około czterdziestu lat, czerstwy był,

zdrów, średniego wykształcenia, ale charakteru prawego, gospodarz z niego był zawołany, nie ruszał się wcale z majątku, chyba w sąsiedztwo lub na jarmark do miasteczka. W domu jego był ład i dostatek, mogłaby nawet być i zamożność, ale biedny pan Marcin miał brata, którego kochał nad życie. W siódmym roku życia chłopiec został sierotą, wychowywał się pod jego okiem; był ładny, zdolny, szkoły skończył świetnie i dotąd był prawdziwą chlubą i pociechą brata, ale gdy przyszła pora dalszego kształcenia się, młody człowiek wpadł w złe towarzystwo, zamiast pracować i uczyć się, hulał, grał w karty, robił długi. Poczciwy pan Marcin napominał łagodnie brata, płacił, gdy było potrzeba, czekając cierpliwie, aż się opamięta i wróci do pracy i porządnego życia, tymczasem rok mijał za rokiem. Józio chwilami brał się do roboty, od czasu do czasu zdawał egzamin, obiecywał poprawę i... wracał z jeszcze większą energią do hulank. Teraz pana Marcina sprowadziły do Warszawy weksle, podpisane na jego imię przez Józefa, który, dokonawszy tego brzydkiego dzieła, znikł gdzieś bez wieści, mówiono, że, zabrawszy pieniądze, wyjechał do Hamburga, a stamtąd do Ameryki.

Zaledwie ukazał się Marcin w Warszawie, otoczyli go wierzyciele brata, biedak stracił głowę w tym całym chaosie; na szczęście odnalazł adres Stanisława i udał się do niego po radę i ratunek.

Stanisław oświadczył mu, rozpatrzywszy sprawę, że może nie płacić weksli, jeżeli udowodni sfałszowanie podpisów, ale pan Marcin wzdrygnął się na myśl, aby taką hańbą okryć brata i skłacać swoje własne nazwisko. Nie pozostawało zatem innej drogi, jak ułożyć się z wierzycielami, ale Józef od tak dawna rujnował brata, że teraz, aby ocalić honor wypadało mu sprzedać majątek. Straszny to był cios dla biednego szlachcica, jednak bez

wahania przystał na ofiarę... Stanisław, widując go często, ocenił jego wartość moralną, a mając wielkie współczucie dla niego, zapytał raz nagle:

— Czy nie zechciałbyś pan ratować się bogatym ożenieniem?

— I owszem, ale jakąż panną bogatą chciałaby wyjść dziś za mnie? Jestem niemłody, zdziczały, a teraz jeszcze w dodatku i smutny okropnie, chyba taka, której potrzeba uczciwego nazwiska dla pokrycia przeszłości, a na to, ja znowu się nie piszę...

— A jabym też o czymś podobnym i nie myślał wcale... tylko czy panu bardzo o piękność idzie?

— E... niechby sobie była i brzydka, byle poczciwa i łagodna. Piękność, rzecz więcej szkodliwa niż pożyteczna, ach! gdyby ten mój Józio był brzydki, pewnoby mnie i siebie do takiego nie doprowadził nie-szczęścia, ale piękny był... i z pięknymi przestawał...

— Bądź pan dziś u mnie wieczorem, zaprowadzę pana do znajomych.

Pan Marcin chętnie przystał i Stanisław zaprezentował go Elizie i jej ojcu. I tak jakoś zrećnie rzecz doprowadził, że w parę miesięcy później Eliza oddała rękę panu Marcinowi; ślub odbył się cichutko, żadnego nie sprawiano wesela i nowożeńcy wyjechali na wieś. Zapewne, że pan Marcin nie był wymarzoną przez Elizę idealną, ale był to człowiek prawy i uczciwy, otoczył żonę swoją przywiązaną i szacunkiem, a gdy w rok później Eliza przytuliła do piersi małeńką istotkę, uczuła się zupełnie szczęśliwą. Do życia wiejskiego nawykła prędko, a choć zawsze myśl o Stanisławie wywoływała westchnienie, jednak przyznawała w duszy, że, nie mogąc sam dać jej szczęścia, znalazł dla niej znośną dolę.

W Warszawie nie była już od lat trzech, teraz otrzymała zawiadomienie o śmierci hrabiny i nagłą list

ojca, aby na pogrzeb przyjechała. Wybrała się tedy w drogę z mężem i małą Stasią.

Skalski powitał wszystkich serdecznie; rad był ze swego dzieła — to skojarzone przez niego małżeństwo było do pewnego stopnia szczęśliwe.

Pogrzeb hrabiny Skoromeckiej odbył się z niezmierną wspaniałością, niezliczona ilość wieńców pokrywała trumnę, rodzina bankiera z ostentacją przywdziała żalobę. Ani jedna łza szczerego żalu nie popłynęła po twarzy osób, tworzących tak liczny orszak pogrzebowy; Laura wkrótce potem, zabrawszy z sobą dzieci, wyjechała za granicę.

Eliza, parę tygodni zabawiwszy przy ojcu, wróciła na wieś, zapraszając go, by do niej przyjechał.

— Nie, moja Lizko — odrzekł — za daleko mieszkasz i to w takim zapadłym kącie, mnie podróż fatyguje, a zresztą ty zdziczałaś na wsi, ciebie nic nie obchodzi, tylko twoja Stasia, twój ogród, twoja owczarnia... Są to dobre rzeczy, ale ja się na tem nie znam, jabym się zanudził u was, ja muszę codzień zobaczyć mój kantor, usłyszeć, jak na giełdzie stoją interesa, co jabym u was robił? Lepiej ty do mnie przyjeżdż na zimę, zabawisz się trochę.

— Dobrze, mój ojcze, jeśli mi co ważnego nie stanie na przeszkodzie... — rzekła z uśmiechem.

Adwokat Skalski stał się tak wybitną w Warszawie, a nawet i w kraju osobistością, że zewsząd nadsyłano mu klientów, majątek jego wzrastał wraz ze sławą pomimo to, że chętnie stawał w obronie ludzi, którzy nie byli w stanie opłacać jak należało jego pracy.

Pewnego dnia weszła do jego kancelaryi kobieta w podeszłym wieku, ubrana czarno i nieśmiało prosiła o posłuchanie. Skalski uprzejmie zapytał, co ją do niego sprowadza.

Pani Malicka rodem z Wołynia, skąd pochodziła także hrabina Skoromecka, była jej koleżanką z klasztoru, gdzie się obydwie kształciły. Kochały się bardzo, będąc dziećmi, i zachowały z sobą przez całe życie stosunki przyjazne.

Hrabina, przyciśniona potrzebą, odwołała się o pomoc do pani Malickiej, która pożyczyła jej pięć tysięcy rubli, od tej sumki bardzo nieakuratnie odbierała procenta, jednak po zameźciu Laury wypłaciła jej hrabina wszystkie zaległości i odtąd regularnie w oznaczonym terminie odsyłała jej pieniądze. Państwu Malickim powodziło się dobrze, a dochód ten był drobnostką, niewiele stanowiącą im różnicy. Ale dwa lata temu jedna z znaczniejszych fabryk cukru zbankrutowała, pociągnawszy w ruinę wielu zamożnych obywateli, w ich liczbie znalazł się i Malicki; widząc się zrujnowanym zupełnie, zapadł w ciężką chorobę, która wkrótce doprowadziła go do grobu.

Wdowa pozostała się w tak smutnem położeniu, że mały kapitalik, jaki miała u hrabiny Skoromeckiej, stanowił prawie wszystkie jej środki utrzymania. Napisała do przyjaciółki, prosząc o wypłatę, ale hrabina odesłała jej tylko procent, obiecując, że się postara wkrótce uczynić zadość jej żądaniu, i tak minął rok, nastąpiła śmierć hrabiny, pani Malicka przyjechała do Warszawy, udała się do Laury, tej nie zastała, odpowiedziano jej, że bawi za granicą; udała się do jej męża i przedstawiła mu swoje żądania, ten brutalnie obszedł się z nią, upewniając, że ani dziś, ani nigdy, żadnego długu swojej teściowej płacić nie myśli.

Pani Malicka przedstawiła dowody swojej należności i pytała, co dalej czynić. Stanisław wziął od niej papiery, obiecał zająć się interesem i zawiadomić ją o tem, co postanowi.

Postępek Hermana oburzał go; wspomniał matkę swoją, patrząc na bladą twarz, białe włosy i pochyloną postać Malickiej, powiedział sobie, że bronić jej było jego obowiązkiem. Nazajutrz tedy zgłosił się do Hermana.

— Jakże mi miło powitać tak rzadkiego gościa — rzekł, witając go Herman.

— Przyznam się panu, że i dziś nie prosta grzeczność, ale interes jest powodem bytności mojej u pana.

— Bardzo się cieszę — w czymże mogę być panu pożytecznym, najmiej mi będzie...

— Właściwie nie jest to mój własny, lecz mojej klientki interes...

W tej chwili wszedł stary Rosenkranz i pominawszy syna, zwrócił się do Skalskiego.

— A, kochany pan Stanisław, stęskniłem się za panem... rad jestem, że pana tu zastaję, pogawędzimy tu swobodnie. Co tam u pana słyhać, panie Stanisławie?

— Samotność, posmutniałem i zdziczałem od śmierci ojca...

— To źle, z ludźmi zawsze żyć trzeba, ja tego gustu do samotności wcale nie rozumiem. Co się to z mojej Lizki na wsi zrobiło? — zdziczała, zordynarniała, ja jej nie poznaje.

— O, tak źle nie jest panie, tylko czuje się szczęśliwą w swoim ciasnym kółku i nie chce się z niego wydalać. W tem nie ma nic dziwnego, panie Rosenkranz.

— Pan przybył dziś do mnie w interesie — wtrącił Herman — może mi pan powiedzieć, o co idzie.

— Owszem panie, wczoraj u mnie była pani Malicka i powierzyła mi swoją sprawę.

— Co, ta szlachcianka z Wołynia z rewersem hrabiny Skoromeckiej? Ja się już z nią widziałem i dałem jej stanowczą i kategoryczną odpowiedź, że długów mojej teściowej płacić nie myślę. Nie wzięliśmy po niej

spadku, a dość mnie już za życia kosztowała, kto wie od kogo mogła pożyczać, a niechnoby się żydkowie zwiedzieli, że ja płacę... Czemu się też pan takiej niemożliwej podjął sprawy? Istotnie bardzo mi przykro.

— Panie Hermanie, nie zmuszaj mnie do wystąpienia ostrego; samo poczucie sprawiedliwości, miłosierdzia wystarcza, by wskazać twój obowiązek.

— Ja żadnych obowiązków nie mam dla tej osoby, ja jej nawet nie znam zupełnie; po co pożyczala hrabinię?.. Dla czego wreszcie nie zgłosiła się, gdy ojciec sponował długi, a teraz do mnie przychodzi... Nie, nie zapłacę ani grosza, to moje ostatnie słowo, przecież niema prawa poszukiwać sądownie, a ja bez potrzeby takiej sumy nie dam, tak się nie robi interesów.

Hermana blada twarz pożółkła, oczy fosforycznym błyszczały blaskiem.

Stanisław spokojnym zmierzył go wzrokiem.

— Przyszedłem tu w zamiarze zakończenia sprawy polubownie, sądziłem, że jest ona panu niedokładnie znana, lub też odpowiedź, jaką otrzymała pani Malicka, była wynikiem chwilowego rozdrażnienia. Jeżeli jednak pan przy swojej obstawie będzie odpowiedzi, proszę pamiętać, że pani Malicka powierzyła mi swoją sprawę, że ja jestem adwokatem i bronić jej będę przed kratkami sądowymi... Dotąd wzbraniałem się występować przeciwko nazwisku pańskiemu, drogi mi jest zawsze stosunek przyjaźni, łączący mnie z pańskim ojcem, gdyby chodziło o zysk osobisty, usunąłbym się bez wahania, ale opuścić biednej kobiety nie mogę...

— Stary Rosenkranz, słuchający dotąd w milczeniu rozmowy, zbliżył się w tej chwili do Stanisława.

— Co to za sprawa? proszę mi opowiedzieć, panie Stanisławie, może mój głos co zaważy, nie może być, żebym ja was nie pogodził.

— Niema tu żadnej możł wej zgody mój ojczy, pan Skalski mi grozi procesem, więc dobrze, będziemy się procesowali, a ja się nie dam byle jakiej awanturnicy wyzyskiwać...

— Pan się zapominasz, panie Rosenkranz, pani Malicka jest kobietą zącą, choć miała nieszczęście stracić majątek, wyrażać się o niej nie wolno inaczej, jak z szacunkiem. A ja panu powiadam, że gdy przyjdzie do sprawy, nietylko że ją wygram, ale postawię pana pod takim pręgiem opinii publicznej, że nie łatwo się z pod niego usuniesz!.. A teraz nie pozostaje mi nic więcej, jak pożegnać pana.

Sklonił się lekko, poczem zwracając się do starego Rosenkranza, dodał:

— Nie bierz mi pan za złe tego, co dalej nastąpi, przyszedłem tu w intencjach pojednawczych, ale sam pan widzisz, jak one były przyjęte.

— Nie, panie Stanisławie, my się tak rozstać nie możemy, niech mi pan opowie, z czym pan przyszedł do syna, wy obadwa młodzi i gwałtowni, toście się posprzeczczeni, a ja tu jestem w takiej nieświadomości, że nawet nie mogę sobie zdać sprawy, kto z was dwóch ma słuszność. Siadaj pan tu przy mnie i opowiedz mi tę całą historię.

Stanisław opowiedział krótko i treściwie rzecz całą. Stary słuchał z natężoną uwagą. Gdy skończył, zawołał na syna, przechadzającego się wielkimi krokami po salonie.

— Słuchaj, Hermanku, pan Stanisław ma słuszność, zapłać ten dług choć przez miłosierdzie; to nieszczęśliwa kobieta...

— Ach! to miłosierdzie; — wybuchnął Herman — jaką ono wielką sumą zapisuje się na moim rocznym budżecie... Laura należy do wszystkich stowarzyszeń

dobroczyńności i wszędzie jako fundatorka lub czynny członek; „noblesse oblige“ trzeba się pokazać, a oprócz tego ileż mnie nakarotują te wszystkie panie i panny z wielkiego świata, każda się czemś opiekuje i zna drogę do mego pugilaresu. A bale, koncerta, kwesty wielkonożne, bazyry!.. Zresztą, jeżeli ta pani taka biedna, mogę jej tytułem wsparcia dać sto rubli, ale rewersu teściowej nie zapłać.

— Panie, to nie żebraczka, ona o jałmużnę nie prosi, aniby jej nie przyjęła; to wierzycielka, dopominająca się o swoje.

— Więc niech mi da pokój i basta! — szorstko odpowiedział Herman.

— Pan pozwoli się pożegnać — rzekł Stanisław — podając rękę staremu bankierowi.

— Ale skąd?... niech pan siedzi, pan zawsze gorączka, a tu trzeba trochę cierpliwości, ja nie chcę procesu, w którymby pan stawał przeciwko nam!..

— Chodźno Herman — dodał, zwracając się do syna.

Herman przystanął.

— Więc o cóż ojcu idzie?

— Słuchaj mnie, Hermanku, ja cię proszę, zapłać dwa tysiące pięćset rubli...

— Ja na to nie przystanę, panie Rosenkranz.

— Niech pan nie przerywa, ja nie skończyłem jeszcze... a ja zapłać drugą połowę za moją starą przyjaciółkę hrabinę, żeby po śmierci źle o niej nie mówili. Czy to ja mało na nią wydałem pieniędzy, kiedyśmy o Lorcie konkurowali...

Herman stał chmurny, zirytowany.

— Miałem teraz tak dużo niespodziewanych wydatków. Doprawdy ojciec z wiekiem staje się strasznie sen-



tymentalny, serce ma tkliwe i byle go poprosić, bez namysłu sypie pieniędzmi...

— No, niebardzo ja z szcudroblowości słyszę, spytaj w biurze; ale co trzeba, to trzeba, ja wiem co robię. A ty jeżeli się tak będziesz często unosił jak dziś, narobisz w życiu głupstw co niemiara... Czy pan ma przy sobie rewers hrabiny? — dodał, zwracając się do Stanisława.

— Mam.

— No, więc ja panu daję przekaz na trzy tysiące rubli, a ty Hermanku dawaj dwa. Nic na tem nie stracisz, przecie ona nie żyje, więc już jej pensyi tego roku nie płacisz...

Tak, ale proszę ojca... to już ostatni wydatek... więcej płacić nie będę...

Ostatecznie Herman dał przekaz, a Stanisław, zabrawszy oba skrypty, pożegnał ojca i syna i wyszedł.

Był bardzo zadowolony z tak szybkiego zakończenia sprawy, a że pani Malicka wydała mu się bardzo smutną i zgnębiłą, postanowił sam pójść bo niej, aby coprędzej dobrą zanieść jej nowinę. Udał się podług adresu, wszedł do bramy i spojrzął na listę lokatorów; „Pani Malicka, wdowa, utrzymująca się z własnych funduszów; pierwsze piętro, numer czwarty“. Zadzwoił; bardzo zreżeczna pokojówka otworzyła mu drzwi.

— Pani Malicka w domu? — zapytał.

— Jest — odpowiedziała służąca, — kogo mam zameldować?

— Adwokat Skalski.

Po chwili wróciła służąca z odpowiedzią, że pani prosi i wpuściła Stanisława do salonu. Wszedł do salonu. Wszedł, spojrzął wokół, trochę zdziwiony. Salonik nosił cechę nie tylko zamożności, ale nawet wytworności wielkiej. Meble jedwabnym kryte adamaszkiem, piękne wiekańskie pianino, portyery, dywany, lustra, świadczyły

i o zamożności i o dobrym smaku właścicielki. Cóż to miało znaczyć? dla czego wprowadziła go w błąd, mówiąc o swoim smutnym położeniu... Wtem we drzwiach ukazała się piękna młoda kobieta. Lat mieć mogła dwadzieścia kilka, średniego wzrostu, figury bardzo udatnej; włosy miała ciemne, pleć białą i świeżą, duże szafirowe oczy, pełne wyrazu. Skłoniła się. Stanisław powstał.

— Czemu zawdzięczam bytność pana u mnie?

— Tu chyba zaszła jakaś pomyłka; pani wybacz i pozwoli mi się usprawiedliwić. Wczoraj zgłaszała się do mnie osoba w podeszłym wieku, powierzyła mi pewną sprawę i zostawiła mi swój adres; ulica, numer, nazwisko — wszystko jest w zgodzie, prócz... osoby... Nie pozostaje mi zatem, jak tylko raz jeszcze przeprosić i oddalić się — rzekł, kłaniając się Skalski.

— Ależ nie, panie; przeciwnie, to moja wina; jestem dziwnie roztargniona: pan ma zupełną słuszość, od tygodnia przyjechała tu moja krewna z prowincyi i zamieszkała u mnie; nosi to samo co i ja nazwisko i jest wdową; oto wytłumaczenie całego qui-pro-quo, za które najmocniej przepraszam. Ciotki w tej chwili nie ma w domu, ale niezawodnie powróci niedługo; może zechce pan poczekać...

Usiadła na kanapie, wskazując obok stojący fotel Skalskiemu. I bardzo prędko zawiązała się rozmowa; nieporozumienie usposobiło ich oboje bardzo wesoło i wkrótce gawędzili z sobą, jak dobrzy znajomi. Ani się spostrzegli, gdy minęła godzina i prawie z przykrością zobaczyli wchodzącą ciotkę, która nie mogła znaleźć słów na podziękowanie adwokatowi, że zechciał się sam do niej trudzić. Gdy się dowiedziała o rezultacie jego zachodów, nazwała go swoim dobroczyńcą, człowiekiem godnym czci i uwielbienia. Żegnając się z paniami, Skalski ofiarował gotowość swoją — w każdej chwili stawienia się na we-

zwanie, gdyby pomoc i rada jego mogły być pożyteczne. O przyjęciu honorarium nawet mówić sobie nie pozwolił. Natomiast z wdzięcznością przyjął zaproszenie młodej kobiety i obiecał korzystać z niego jaknajczęściej.

Pani Malicka miała obecnie lat dwadzieścia pięć, wdową była już od dwóch lat, przeżywszy z mężem bardzo smutno lat trzy. Wanda Korzycka została sierotą, mając zaledwie lat dziesięć; ojciec zginął wypadkiem na polowaniu, w parę lat później straciła matkę. Po rodzicach odziedziczyła duży majątek, dano jej opiekunów, z których jeden zabrał ją do swego domu; był to mąż krewnej jej matki, Malicki, nikogo bowiem z bliższej nie posiadała rodziny. Malicki był człowiekiem średniej fortuny, bardzo prawy i zacny, żona jego i dwoje dzieci, syn i córka, przyjęli sierotkę z otwartymi rękami, i wkrótce wcieliła się ona tak do tej nowej rodziny, że zapomniała o swem sierotctwie. Iza była trochę starsza od niej, Wiktor miał już lat dziewiętnaście i właśnie ukończył gimnazjum. Dla dalszego kształcenia przebywał w mieście, a Wanda widywała go tylko podczas świąt i wakacji; okazywał jej zawsze wiele przyjaźni, a że był młody i wesół, dzielił z siostrą i kuzynką zabawy, opowiadał im różne epizody życia studenckiego, jednym słowem przyjazd Wiktora stanowił zwykle upragnioną epokę w życiu panienek.

Gdy Wanda miała rok ośmnasty, kuzynka jej wyszła za mąż, a ona pozostała sama w domu opiekunów; majątek i wdzięki czyniły z niej najlepszą partycję; niezbywało jej na starających się, ale ładna panienska miała swoje własne pojęcia o małżeństwie, czekała, póki jej serce nie odezwie się. Bywała chętnie w towarzystwach, tańczyła wiele, rozmawiała, śmiała się wesoło, ale serce jej było wolne — mawiała nieraz, że pewno wypadnie jej zostać starą panną, i upewniała, że w tym stanie potrafi być szczęśliwą.

Nadeszła smutna wiadomość: Wiktor, który od jakiegoś czasu dawał wiele powodów zmartwienia rodzicom, ciężko zachorował. Natychmiast oboje wybrali się do Kijowa, gdzie Wiktor przebywał, a Wanda na czas ich niebytności zamieszkała u Izy; ta ostatnia zalewała się łzami po przeczytaniu listów, otrzymywanych od matki; nie chciała jednak dawać ich do czytania kuzynce, odpowiadając tylko na jej pytania: Wiktor zgubiony; nie-szczęśliwy!..

Po trzech miesiącach wrócili państwo Maliccy do domu, przywożąc z sobą syna, który, jak mówiono, dla ciężkiej choroby nie mógł kończyć uniwersytetu, potrzeba było czekać zupełnego do zdrowia powrotu. Wanda, która nie widziała go już więcej jak od roku, boleśnie dotknięta była straszną zmianą jego fizyognomii. Bardzo blady, w oczach miał jakiś dziwny wyraz, jakby przyćmionych władz umysłowych, głos drżący, w wyrażeniach i ruchach niesłychana egzaltacja. Z początku prawie go się bała, gdy jednak Wiktor po dawnemu siostrzyczką ją nazywał, gdy zapytany o swoje cierpienia, zaczął jej opowiadać o strasznych bólach głowy, które uśmierzała tylko morfina, gdy wreszcie powiedział jej, że go nikt nie rozumie, że leczy go źle, że ojciec jego zapatruje się za surowo na jego postępowanie, matka i siostra go nie rozumieją; każą mu oddziaływać na siebie moralnie, chcieć, pragnąć dojść do jakiegoś celu — moralnego celu, otrzymania dyplomu. Tak, istotnie, przy jego zdolnościach zdanie egzaminów ostatecznych mogło być prawie igraszka, ale potrzeba było chcieć... a choroba jego była chorobą woli... Mówił, zwierzał się, opowiadał; z oczu Wandy płynęły cicho łzy współczucia; serce jej ogarnęło wielkie miłosierdzie nad tym nieszczęśliwym; kochała go jak brata, w tej chwili czuła się zdolną do największych poświęceń, byle wyrwać tę piękną duszę, tę wyższą inteligencję z ciemności, w jaką

je straszny nałóg pogrążał. Wiktor był morfinistą... przysięgła sobie iść w zapasy z tą dziką rywalką... Bóg dopomóż, da jej głosowi siłę przekonywającą... znalazła cel w życiu, jemu poświęci się cała... Zadanie trudne, ale czemuż nie podola silna wola, wytrwałość. I od tej chwili zaczęła poszukiwać towarzystwa młodego człowieka, tem łatwiej jej to przychodziło, że Wiktor przypominał sobie dawne do niej przywiązanie, a widząc, że i ona zdaje się być zadowolona, gdy jest przy niej, przepędzał z nią coraz więcej czasu... Zdrowe zapatrywanie się na życie młodej dziewczyny, jej głos łagodny, humor wesoly, znakomity wpływ wywierały na zdrowie młodego człowieka, chwilami wracał do książek, wreszcie pokochał Wandę całą siłą uczucia, jaką mu jeszcze nieszczęśliwy nałóg zostawił. Za obietnicę jej ręki przysięgł porzucić stanowczo morfinę. Wanda tryumfowała, udało jej się przecie pokonać rywalkę.

Napróżno ojciec Wiktora chciał ją odwrócić od powyższego zamiaru, upewniając, że ten nieszczęśliwy chłopiec już kilka razy dawał słowo, przysięgał i nie dotrzymywał obietnicy. Wanda się uparła, nie chciała wątpić o swej sile moralnej, o swej przewadze duchowej nad kochającym ją człowiekiem.

Została żoną Wiktora; po trzech miesiącach powrócił do swego nałogu; zawiozła go za granicę — najpierwsze powagi naukowe próbowały sił swoich na tym nieszczęśliwym. Po długiej, ciężkiej i kosztownej bardzo kuracji uznano go za uleczonego... Wtedy wrócili do kraju. Istotnie, Wiktor rzekł się morfiny, ale oddał się używaniu alkoholu, co go w krótkim czasie doprowadziło do grobu.

Niepodobna opisać wszystkich męczarni przecierpianych przez niespełna trzy lata pożycia małżeńskiego Wandy. Człowiek ten, którego ukochała wielkiem poświęceniem, do-

prowadzony powoli do stanu zupełnego zezwierżenia, przedstawiał widok smutny, na który wzdrygały się wszystkie poczucia estetyczne i moralne młodej kobiety. Czuła do męża wstręt niewysłowiony, w chwilach oprzytomnienia jego łzy, obietnice, uznanie jej cnót, potępienie siebie, były dla niej jeszcze cięższą męczarnią, niż gdy patrzyła na leżącego bezprzytomnie.

Jedyną myślą, jedynem jej życzeniem było nie widzieć go, stracić z oczu, uciec przed nim — a na to nie pozwalało poczucie obowiązku. To też śmierć męża przyjęła zupełnie obojętnie, tylko miejsca, gdzie przecierpiała tak wiele, stały się dla niej przykreimi, wyjechała prosto do Warszawy, gdzie nie znalazła nikogo, urządziła sobie mieszkanie i oddała się z zapalem muzyce i malarstwu, i tak już od lat dwóch, nie szukając znajomości, żyła prawie samotnie. Teraz niespodziewany przyjazd dalekiej krewnej nastroczył jej sposobność poznania Stanisława.

Ta przypadkiem zawiązana znajomość w niedługim czasie przybrała pozór zażyłej przyjaźni. Dotąd Skalski nie znał jeszcze osoby, któraby go tak dobrze, tak dokładnie pojmowała... Pod zbawiennym wpływem tej przyjaciółki wypełniła się owa próżnia w duszy, której sam zapełnić nie umiał. Stanisław nie miał zamiaru żenienia się. Wanda na samą myśl zawarcia powtórnych związków małżeńskich wzdrygała się ze wstrętem... A jednak niewiadomo jak przyszło do tego, że sobie wyznali miłość wzajemną i niespełna w rok od chwili gdy się poznali, kłęczeli obok siebie w kaplicy domowej w Starowoli i zaprzysięgli sobie wiarę dożgonną. Matka Stanisława, błogosławiąc ich, zalana łzami, mówiła:

— Tylko kochacie, się szczerze i wiernie moje dzieci, jest to jedyne szczęście prawdziwe na tym świecie... przetrwa ono wszystkie przeciwności tego życia i nie skończy się nawet po za grobem. Dlaczegoż ojciec twój biedny nie dożył tej chwili!..

## VIII.

**C**eraz dopiero życie Skalskiego stało się szczęśliwe; płynęło szybko i rozkosznie. Wanda była piękna, rozumina, dowcipna; zadowolenie wewnętrzne błyszczało w jej oczach; pełna wyrozumiałości i pobłażania, unikała starannie każdej, bodaj najdowcipniejszej rozmowy, w której sława czyja uciepieć miała. Postępowanie jej nie dawało też pozorów do najłżejszej obmowy; nigdzie nie widziano jej samej bez Stanisława, z nim dzieliła nie tylko doznane wrażenia, ale każdą myśl przelotną. To też była kochaną uczuciem pełnym uwielbienia, na które złożyło się wszystko, co w duszy szlachetnego człowieka zaszczerpiły: pierwsze przywiązanie rodzinne, gorące marzenia młodzieńcze i głęboki sąd krytyczny dojrzałego mężczyzny.

Pewnego dnia, było to w karnawale, Wanda ubierała się na bal do ratusza, Stanisław zaś pracował w swojej kancelaryi, gdy wtem wszedł służący i podał mu depeszę.

Rozerwał, przeczytał, zbladł okropnie i szybkim krokiem pobiegł do pokoju żony. Zaledwie wszedł, przerażona rzuciła się ku niemu.

— Co ci Stasiu? — zapytała drżącym głosem.

Spojrzał na zegarek.

— Za godzinę jadę!.. odebrałem wiadomość, która zmusza mnie niezwłocznie do wyjazdu...

Zadzwonił. — Wszedł służący.

— Pakuj mi natychmiast rzeczy; weź większą walizkę, tak, aby mi starczyło na dwa tygodnie.

— Ale dokąd jedziesz Stasiu?..

— Wiesz, Wando droga, czem dla mnie był Kroński, nieraz ci mówiłem, ile mu zawdzięczam; syn jego Alfred był niegdyś moim uczniem, przyrzekłem mu przyjaźń i opiekę, a od lat czterech nie wiedziałem nawet, co się z nim dzieje... w tej chwili od niego odebrałem depeszę, wzywa mej pomocy!.. Oto depesza: „Przyjacielu ratuj! straszne nieszczęście. Alfred Kroński — Bern“.

— Przepraszam cię, Wando, zapomniałem zupełnie że mieliśmy być dziś na balu, poślij do prezesowej, może cię pojechać razem. Nie chciałbym ci psuć przyjemności, ale sama widzisz... że nie mam chwili do stracenia.

— Co też ty mówisz, ja miałabym jechać na bal, gdy ty pełen troski i niepokoju będziesz w drodze?..

Wanda zmieniła pospiesznie balową toaletę na jakąś wełnianą suknię, poszła pomódz mężowi w przygotowaniu do podróży, odwiozła go na kolej i bardzo smutna wróciła do domu.

Pierwsze to od pół roku, jak się pobrali, było rozstanie; pierwsza chwila smutku i tęsknoty. Teraz Wanda uczuła w całej sile jak bardzo kocha męża!.. Jakże różne było to uczucie od tego, jakiego doznawała dla Wiktora: tam była litość, miłosierdzie, wreszcie chęć walki, miłość własna... a tu przywiązanie bez granic, wiara w szlachetność duszy, potęgę i siłę umysłu. Nad tamtym chciała panować, władać jego umysłem, kierować krokami. Przed tym z rozkoszą chyliła czoło, szczęśliwa i dumna z jego wyższości.

Nagły wyjazd Skalskiego otworzył szerokie pole domysłom, tem więcej, że Wanda, nie mająca nikogo z krewnych w Warszawie, z chwilą wyjazdu męża zamknęła się literalnie w domu, nie oddając wizyt, ani nie przyjmując nikogo. Łożę swoją abonowaną odesłała do kassy teatru, na wszystkie zaproszenia odpowiadała odmownie. Rozmaicie tłómaczono sobie jej postępowanie, najpowszechniej przyjęła się przez którąś z pań puszczona w obieg nowina, że Skalski porzucił żonę i wyjechał zagranicę z jakąś bardzo piękną kobietą; cytowano jej nazwisko; byli nawet tacy, którzy na własne oczy widzieli adwokata, wsiadającego do wagonu z zawołowaną damą. Ganiono go powszechnie, podziwiano, zazdroszczono mu nawet; a zdaniem kobiet, Wanda sama była winna wszystkiemu, bo do czego podobne tak bardzo kochać męża, tak nie kryć się z swem przywiązaniem, nie podrażnić go nawet najłżejszą kokieteryą.

Podczas, gdy tak świat zajmował się nimi, oni najzupełniej zajęci byli sobą; Wanda codzień miewała listy lub depesze od męża, czekała na nie, lub też odpowiadała — i tak smutno i jednostajnie wśród tęsknoty minął miesiąc. Aż nareszcie nadeszła upragniona wiadomość o powrocie.

Wanda nagle otrząsnęła się z swej apaty; przebiegła cały obszerny apartament, kazała czyścić, odświeżać wszystko; sama pojechała do ogrodnika, by wybrać świeże kwitnące kwiaty, przygotowała przyjęcie i nakoniec na godzinę przed nadejściem pociągu, z bijącym sercem była na dworcu, oczekując co chwila uderzenia dzwonka, świstu nadchodzącej lokomotywy.

\* \* \*

Stanisław, rozstawszy się z żoną, pełen niepokoju pośpieszył do Szwajcaryi, jak mu telegram wskazywał. Przybywszy na miejsce, zaczął rozpytywać o nieszczęśliwego młodego człowieka, ale zaledwie wymienił nazwisko Alfreda w hotelu, natychmiast odpowiedziano mu:

— Ach, to ten biedny chłopiec, syn tej pani otrutej; odwieźli go stąd do szpitala, gdzie leży chory śmiertelnie... Czy pan znajomy, czy krewny, może pan nowe światło rzuci na tę ciemną sprawę? Śledztwo się prowadzi, zbrodniarz podobno ujęty; biedną ofiarę po dokonanej sekcji pochowano...

Stanisław słuchał przerażony i zdumiony tych objaśnień, nie rozumiejąc nic więcej, prócz tego, że Alfred chory leży w szpitalu. Odkładając tedy na później wszelkie badania, kazał się coprędzej zawieźć do niego.

Gdy ostatni raz widział Alfreda, był to wyrostek lat dziewiętnastu, szczupły, słuszny blondynek, o płci białej, prawie kobiecej, teraz musiał mieć lat dwadzieścia pięć. Jakże wielką zmianę sam wiek przynieść musiał... ale gdy mu wskazano łóżko, gdzie leżał biedny młodzieniec, Stanisławowi lzy puściły się z oczu. Chory z nawpół-przymkniętymi oczami bredził nieprzytomnie.

Uspokoiwszy się trochę, Skalski zapytał doktora o stan chorego.

— Jest źle; ale nie trzeba tracić nadziei.

— A czy możnaby go stąd przenieść do prywatnego mieszkania?

— I owszem panie, a najstosowniejsem dla tego młodego człowieka pomieszczeniem byłby dom zdrowia, zostający pod moim kierunkiem. Tam znajdzie wszystko, czego potrzebować może: opiekę lekarską i rozumne pielęgnowanie; mamy pokoje na różne ceny...

— Proszę o najlepszy i najwygodniejszy, pragnął-

bym także sam umieścić się przy chorym, dla niego tu albowiem przyjechałem.

— Nic się życzeniu pana nie sprzeciwi, tylko... u nas płaci się zwykle z góry za miesiąc, a w razie katastrofy, pieniędzy nie zwracamy. Jeśli tedy przystanie pan na moje warunki, chory za dwie godziny znajdować się będzie na miejscu, obok niego damy panu pokoik, urządzone wygodnie, jeśli pan zechce obiady u nas jadać...

Stanisław zapłacił, ile żądano, i raz jeszcze poleciłszy Alfreda opiece doktora, wrócił do hotelu strapiiony, smutny, zdenerwowany. Czuł jakieś wyrzuty sumienia, że nie zapobiegł katastrofie, chociaż nie wiedział, czyby to było w jego mocy. Zobaczył syna swego opiekuna i przyjaciela w ciężkiej chorobie, samego, w szpitalu najuboższych ludzi, których tu państwowe umieściło miłosierdzie. Nie mógł się uspokoić, przyjść do równowagi. Napisał do żony list krótki, nacechowany głębokim smutkiem. Następnie wyszedł na miasto dla zebrania wiadomości o wypadku. Oto, co mu powiedziano:

— Przed dwoma tygodniami do jednego z pierwszorzędnych hoteli w mieście zajechali państwo X. Mąż młody, przystojny mężczyzna, żona kobieta stara, na której rysach widać było ślady minionej piękności. Z początku żyli bardzo zgodnie, po kilku dniach jednak rozpoczęły się między nimi jakieś sceny gwałtowne, wśród których słychać było podniesiony głos męża i płacz żony. O czym mówiono, nikt nie rozumiał, język bowiem, którym ci państwo rozmawiali z sobą, był zupełnie służbie hotelowej nieznanym. Domyślano się jednak, że chodzi o pieniądze. Pani wysłała depeszę telegraficzną do Monachjum, do swego syna, który w trzy dni później przyjechał. Niezadowolony młody człowiek zastał matkę nieżywą, z widocznymi śladami uduszenia. Czuły małżonek ulotnił się, unosząc z sobą wszystkie pieniądze i kosztowności, nawet

rachunki hotelowe pozostały nieuregulowane. Młody człowiek przyjechał także bez grosza, widocznie rachował na pomoc matki, tymczasem, gdy wszedł do niej i zobaczył ją w tym stanie, zadzwonił, zawiadomił pomocy lekarskiej i wysłał depeszę do Warszawy, poczem stracił przytomność i został odesłany do szpitala.

Oto wszystko, czego jak na teraz dowiedział się Stanisław.

Gdy po ukończeniu szkół przez Alfreda matka zawiozła go za granicę, upewniając opiekuna, że syn w celu dalszego kształcenia się wyjeżdża, zaproponowała mu podróż na rok cały dla zabawy.

Młodemu chłopcu bardzo podobał się ten projekt. Zaczęto od Paryża, gdzie zabawili sześć miesięcy, a każde z nich bawili się na swoją rękę. Pieniądze płynęły jak woda, Alfred poznał życie i zabawy stolicy świata. Dora resztkami piękności zdobywała wielbicieli. Potem wyjechali do morskich kąpiel, oboje potrzebowali wzmocnienia i wypoczynku po pracowicie spędzonej zimie. Tu jednak nowe poczęły się przyjemności: spacer i wycieczki, korzystali z nich syn i matka, najczęściej każde w innym kółku, dla większej swobody.

Gdy skończył się sezon, wyjechali w góry, gdzie się bawiono tak doskonale, że do późnej pozostali jesieni.

List od opiekuna, którego dochodziły wieści o postępowaniu nierozważnej matki, poważnie i surowo wzywał Alfreda do pracy. Chłopiec rozbawiony uważał za tyranię życziwe rady zacnego człowieka, poddać się jednak musiał rozkazom i wstąpił do uniwersytetu w Wiedniu na wydział matematyczny.

Po tej niefortunnej przerwie, gdzie tyłu niepotrzebnych nauczył się rzeczy, wziąć się do pracy było mu niezmiernie trudno, chodził jednak na kursa aż do czasu, w którym został pełnoletnim, a więc samodzielnym panem

swego majątku i osoby. Skorzystał z tego zaraz, rzucając uniwersytet, natomiast w wolnych chwilach studyował rzeźbę i malarstwo, do czego istotne miał zdolności. Rozporządzenie majątkiem pozostawił matce. Zarówno nieogłędni oboje, zgadzali się zwykle we wszystkim, byle tylko nie zabrakło im pieniędzy na wszelkiego rodzaju fantazy.

Majątek Krońskiego był duży, dochody znaczne; ale nieroztropna para zaciągała długi, na spłacenie których od czasu do czasu trzeba było wycofać kapitał, co znów zmniejszało dochody. Ale nikt nie myślał o jutrze, które zresztą wydawało się bardzo dalekie.

Dora, coraz więcej przymuszona piękną swoją sztuką nadrabiać, widziała, że koło jej wielbicieli zmniejszało się z dniem każdym, postanowiła tedy wejść w powtarzalne związki — i niedługo zdarzyła się jej do tego sposobność. Pan X., którego znała z Warszawy, po kilkuletniej włóczędce zagranicą, zjawił się w Biaritz, gdzie bawiła Dora. Młody, bardzo piękny mężczyzna, pelen elegancji, wytwornych manier i wielkiego cynizmu, żyjący z dnia na dzień, zbliżył się, przypomniał znajomości, a że właśnie potrzebował pieniędzy, a wiedział, że Dora była bogatą, zaczął koło niej krążyć.

Alfred, od jakiegoś czasu znudzony i znużony życiem bez celu, pojechał do Monachjum, gdzie na seryo zaczął pracować i oddawał się malarstwu, pozostawiając zawsze matce zarząd dochodami i majątkiem. Byłe w oznaczonych terminach przysyłała mu umówioną sumę, o nic więcej nie pytał; potrzebował w stosunku do tego, co dawniej wydawał, bardzo niewiele. Od jakiegoś czasu listy matki stawały się rzadsze i obojętniejsze, przesyłki pieniężne nadchodziły nieakuratnie. Młody człowiek, który przy pracy odzyskał trochę energii i zdrowiej na rzeczy

zapatrywać się zaczął, postanowił zobaczyć się z matką, i ostatecznie zabezpieczyć resztę pozostałego mienia.

W tym celu udał się do Wiednia, gdzie wiedział, że ją zastanie. Nie zawiadomił jej wcale o swym przybyciu, zapytał tylko o numer, jaki zajmowała w hotelu, i zapukawszy lekko, wszedł. Był u niej właśnie pan X., który po dyskretnem pukaniu domyślając się kogoś ze służby hotelowej, nie zmienił nawet poży, bardzo swobodnej, na kanapie obok Dory.

Alfred zarumienił się — zmierzylili się wzrokiem, w którym z obydwóch stron błysnęła nienawiść. Matka zerwała się z kanapy i z gestem trochę teatralnym rzuciła się synowi na szyję.

Nastąpiła prezentacja młodych ludzi. Alfred z wahaniem podał rękę gościowi, który też, krótką jeszcze zabawiwszy chwilę, wyniósł się niebawem.

Gdy pozostali sami, Alfred powiedział matce cel swego przybycia. Był bardzo smutny; teraz otworzyły mu się oczy, że wstydem schylił głowę, tysiące drobnych okoliczności, na które dotąd nie zwracał uwagi, błysnęło mu przed oczyma; cierpiał bardzo, wyrazy więzły mu w gardle, tłómaczył się z trudnością...

Dora w milczeniu, słuchając zaledwie jego mowy, studyowała grę jego fizyognomji... Alfred był jej synem, młodym człowiekiem, a wreszcie mężczyzną... Cóż łatwiejszego dla tak zręcznej zalotnicy, jak zgadnąć, co się działo w duszy jego. To też zostawiając na później kwestyę interesów, jaką poruszał, nie odpowiadając nawet na jego pytania, rzekła, ściskając go silnie za rękę:

— Słuchaj, Frusiu, mówisz tak wiele, a ani słowa o tem, co cię najżywiej obchodzi, nad czem cierpisz i bolejesz... przyznaj się, posądziłeś matkę o występny stosunek z młodym człowiekiem, którego zastałeś tu wchodząc?

Alfred zarumienił się, ale nie rzekł słowa.

— Widzisz, mój drogi, żem się nie pomyliła, a do pewnego stopnia i ty miałeś słuszność; tak, ale tylko do pewnego stopnia... gdyż pan Józef X. jest moim narzeczonym... Ślub najdalej za miesiąc.

— Co mama mówi? Czy to być może... wszak ten pan... nie wiem, czy jest starszy odemnie!.. Niech się mama zastanowi, czy ten człowiek jest uczciwy? we mnie bo wzbudził jakiś wstręt niewysłowiony...

— Bo mały Frus, zazdrości o mamę — rzekła, obejmując go za szyję.

— O nie, matko; ja boję się o ciebie, tyś łatwo-wierna, on cię oszukuje, on cię kochać nie może...

— Czy tak?... Pan Alfred znajduje zapewne, że matka jego nie zdolną już jest obudzić uczuć; mylisz się, tego roku byłam w Biaritz, byłam więcej niż kiedykolwiek otoczona... wreszcie pan X. jest człowiekiem bardzo bogatym. Od dwóch lat bawi za granicą, a majątkiem jego zarządza brat. Spotkaliśmy się w Biaritz i od tej chwili kocha się on we mnie bez pamięci... grozi mi nawet, że jeślibym nie chciała zostać jego żoną, ży-cieby sobie odebrał...

— Matko, ja nie wiem... ale, wierz mi, ja to czuję... ty nie możesz być szczęśliwa z tym człowiekiem; porzuć go, jedźmy razem do Monachium...

— Szalony jesteś, Frusiu, cóż jabym tam robiła? takie nudne miéscisko, niedługo umarłabym z nudów; mnie trzeba świata, gwaru, stosunków... Nie bój się o mnie, ja będę szczęśliwą z Józefem, bo... widzisz... nie powinnabym tak mówić do ciebie... ale ja jego kocham nad życie... Co do kwestyi, w której przyjechałeś, sama już myślałam, że trzeba nam raz rachunki uregu-lować, może to będzie trudno, bo oboje wydaliśmy za dużo i podobno niewiele bardzo już mamy... ale wszystkie

papiery składam do jednej szkatułki; Józef jest człowiek zdolny, on nam pomoże...

— Możebyśmy się mogli obejść bez niego...

— Widzę, że masz żal do Józia, to przejdzie, gdy się lepiej poznacie...

Alfred zabawił tydzień w Wiedniu i wyjechał, nie nie zrobiwszy. Miał piekło w duszy, wracając do Monachium; przyszły ojczym przedstawiał w jego oczach doskonały typ tego, co francuzi nazywają: *un chevalier d'industrie*; matki jednak nie przekonał, była zupełnie zaślepiona.

Przez cały czas pobytu w Wiedniu starannie unikał spotkania z nim i wyjechał, nie chcąc się z nim pożegnać. Matka wręczyła mu tysiąc marek i powiedziała, że zajmie się rachunkami, a gdy je ukończy, zawezwie go do siebie. Rozstali się chłodniej niż zwykle, a w trzy tygodnie później Dora została żoną Józefa. Poczem rozegrała się w Bernie ostatnia scena dramatu, skutkiem której Skalski został zawezwany przez Alfreda.

Od chwili zaznajomienia się Józef żył literalnie kosztem Dory, brał od niej tytułem pożyczki z początku mniejsze, potem coraz większe sumy, których zaślepiona kobieta nie śmiała mu odmawiać. Ale gdy się przekonała, na co obracał pożyczane od niej pieniądze, że z nich korzystała tancerka cyrkowa, zrobiła mu scenę zazdrości. Zaraz po ślubie wywiozła swój skarb do Szwajcaryi, marząc o szalecie w ustroniu, o sielankowej miłości wśród kwiatów, zieleni, zapominając zupełnie o tem, że była już starą, zużytą kobietą, nie chcąc wiedzieć, że człowiek, z którym się połączyła, był nikczemnym spekulantem tylko.

W Bernie otrzymała list od syna; pisał, że prosi o nadesłanie trzech tysięcy marek. Zaciągnęła pożyczkę, gdyż mąż jej tak pochłaniał pieniądze, że nastarczyć mu



ich było niepodobna. A teraz ton przymilenia, prośby, zmienił się w rozkazujący, obelżywy; teraz widziała już, jak wielki błąd popełniła, oddając rękę Józefowi.

Wezwała syna — chciała mu oddać sama pieniądze, tymczasem mąż wszedł do niej właśnie, gdy z a mykała szkatułkę, gdzie znajdowała się sumka dla Alfreda przeznaczona. Zażądał, by mu ją natychmiast oddała, Dora odmówiła. Doszło do słów obelżywych, w końcu mąż schwytał ją za gardło — upadła; sądząc, że jest tylko zemdlona, uchwycił szkatułkę z pieniędzmi, gdzie znajdowały się również biżuterje i zamknawszy drzwi — wyszedł. Przechodząc, oznajmił służbie, że pani trochę cierpiąca położyła się spać i nie chce, aby ktokolwiek do niej wchodził, dopóki sama nie zadzwoni.

Wszystko to stało się rano, Alfred przyjechał dopiero wieczorem.

Stanisław porobił wszelkie kroki, aby uniknąć o ile możliwości skandalu, zapobiegł, by nazwiska i narodowość osób, występujących w tym dramacie, nie były ogłoszone w gazetach, zapłacił rachunek Dory w hotelu, rzeczy pozostałe zabezpieczył dla syna. Poczem udał się do domu zdrowia, gdzie zastał już Alfreda wygodnie zainstalowanego. Doktor upewniał, że chory lada chwila wróci do przytomności. Stanisław usiadł przy łóżku i w głębokie zapadł dumanie. Jakże dalekim był już ten czas, kiedy to on po owem zerwaniu z Dorą leżał bezprzytomny, chory śmiertelnie, najczulej dogładany przez jej męża... a dziś śmierć tej kobiety... zabójstwo dokonane na jej osobie... nie było wymierzeniem zasłużonej kary... ale biedny Alfred... jakże strasznym będzie jego powrót do przytomności... Dobrze, że przynajmniej spotka się zaraz ze wzrokiem przyjaciela, gotowego do wszelkich poświęceń, byle mu zdrowie i spokój powrócić...

Alfred obudził się, szeroko otwartymi oczyma powiódł wokoło siebie.

— Gdzież ja jestem? Zdaje mi się, że spałem bardzo długo... Przepraszam... ale, nie wiem, kto pan jesteś, może doktor?... tak... ja musiałem być długo chory... może mi pan powie...

— Czyż ty mnie nie poznajesz, Alfredzie?... — wstrzymując z trudnością łyż, zapytał Skalski.

— Ach, pan Stanisław... tak dawnośmy się nie widzieli... Wyciągnął ku niemu drżącą rękę.

Stanisław przycisnął go do piersi.

— Najprzód tedy, gdzie ja sam jestem? potem, czemu przypisać obecność pana przy mnie? Ja nie wiem, nie mogę sobie przypomnieć.

— Proszę cię, nie męcz się tem, jesteśmy... w Szwajcaryi... dowiedziałem się, żeś chory i przyszedłem cię odwiedzić.

Chory opuścił zboląłą głowę na poduszki.

— Śpij, Alfredzie, ja tu zostanę przy tobie; jak odzyskasz zdrowie, wyjedziemy razem... a tymczasem weź lekarstwo...

Alfred wypił bez oporu, i znowuż zapadł w sen, leżąc bezwładnie.

Stanisławowi łyż płynęły po twarzy, wielkie współczucie nadzwyczajnym smutkiem przejmowało jego serce. Czy żyć będzie ten biedny człowiek?... Jak dalej pójdzie mu życie?... Co zrobić, by mu je znośnym uczynić?... Jak upozorować przed nim śmierć matki, gdy mu wróci przytomność?

Gdy zdał sprawę doktorowi z tego, co zaszło, ten rzucił, aby przez dni kilka Stanisław nie pokazywał się wcale choremu, który z łatwością widzenie się z nim weźmie za jedno z licznych widziadeł, co przed jego chorą przemknęły wyobraźnią. Stanisław stosował się do polecenia lekarza i śle-

dząc stan chorego, z przyległego pokoju, nie pokazywał mu się wcale. Alfred zapytał parę razy pilnującego go infirmera o pana, którego widział przy łóżku, ale uspokoił się, gdy ten mu zaręczył, że oprócz doktora nikogo nie było.

Dano znać Skalskiemu, że domniemany zabójca został schwytany i osadzony w więzieniu w Genewie — natychmiast pojechał dla zajęcia się tą sprawą. Chodziło mu głównie o to, aby rzecz miała jaknajmniej rozgłosu, przez wzgląd na przyszłość Alfreda; chciał też oszczędzić wstydu i zgrzyoty bratu nikczemnika.

Przyjechawszy do Genewy, udał się zaraz do więzienia. Józef siedział ponury i chmurny; widząc wchodzącego Stanisława, zapytał:

— Kto pan jesteś i czego odemnie żadasz?

— Jestem adwokatem i przychodzę się spytać pana, co możesz przedstawić na swoją obronę?

— O co mnie obwiniają?

— O kradzież i zabójstwo...

— To fałsz!.. Kontraktem ślubnym żona zapewniła mi dowolne rozporządzenie jej mieniem; zabranie więc nędznych paru tysięcy marek i biżuterii nie było kradzieżą... Co do zabójstwa, to było ono mimowolne. Różne okoliczności zmusiły mnie do zawarcia ślubów małżeńskich z kobietą, która wstrętną mi już oddawna była nic więc dziwnego, że myślałem tylko o tem, jakby jej się pozbyć; zabijać jej jednak nie miałem zamiaru, chciałem tylko zabrawszy pieniądze, uciec od niej; tymczasem, doznawszy z jej strony oporu, ścisnąłem ją za gardło, żeby nie krzychała... nie słysząc już jej głosu, sądziłem, że zemdlła i, korzystając z chwili, zabrałem, co się dało i wyjechałem. Dopiero tu się dowiaduję, że jestem wdowcem... Oplakiwać straty nie miałbym zamiaru, to tylko źle, że mnie ten zgon niespodziewany wplątał w sprawę kryminalną.

Stanisław ze wstrętem patrzył na tego człowieka. Po

chwilowem milczeniu odezwał się do niego po polsku, dotąd bowiem rozmowa prowadzona była w języku francuzkim.

— A teraz powiem panu — rzekł zwolna — że jestem... ze wstydem wyznać mi to przychodzi, rodakiem pana; nazywam się Skalski, jestem adwokatem w Warszawie, zbrodnia popelniona przez pana sprowadziła mnie do Szwajcaryi, byłem...

— Zapewne jednym z kochanków nieboszczki... — przerwał cynicznie Józef.

— Byłem przyjacielem Krońskiego — mówił dalej Stanisław, nie zwracając uwagi na przerwę.

— L'un n'empêche pas l'autre! panie adwokacie... entre nous, możemy o tem pomówić; niech pan będzie spokojny, nie byłem wcale zazdrosny o Dorę...

— Zechciej pan zaprzestać tych żartów niestosownych, pomyśl, że jesteś w więzieniu, że zbrodnia popelniona jest jawna, że cię czeka proces i śmierć haniebna, która całym ciężarem spadnie na twego brata, że syn jego wstydzić się będzie musiał nazwiska, które nosi... wszystko dzięki twoim nikczemnym postępkom. Wiedz o tem, że zapłacenie fałszywych weksli, przez siebie podpisanych, do zupełnej nędzy byłoby doprowadziło tego biednego Marcina, który ze łzami przystał przedziej na zupełną utratę majątku, niż na zhańbienie nazwiska, wreszcie on zawsze ludził się nadzieją, że brat jego jest młody, że się upamięta, wierzył w możliwość poprawy... ale cios, który mu zażąda ten skandaliczny proces, będzie dla niego śmiertelnym...

Józef pobladł, cyniczny uśmiech znikł z ust jego; zapytał stłumionym głosem:

— Skąd pan zna Marcina?

— Sprawa o sfalszowane weksle szła przez moje ręce; podpisy były tak słabo udane, że wystarczało proste

zaprzeczenie — ale brat pański jest człowiekiem tak prawnym, tak nieposzlakowanego honoru... dziwię się...

— Że jest bratem moim, masz pan słuszność, lecz jesteśmy do siebie wcale niepodobni. Marcin był dla mnie zawsze dobry i pobłażliwy... zdziwisz się pan zapewne, gdy powiem, że pomimo wszystkiego, dotąd ze mną nie zerwał stosunków, korespondowaliśmy z sobą i teraz... Przed tem, gdy mnie aresztowano, odebrałem zawiadomienie, że list z pieniędzmi od niego czeka na mnie na poczcie w Bernie; z tych już korzystać nie będę... ale mniejsza o to... Czy niemógłby się pan ze mną zobaczyć jutro?... Chciałbym jeszcze z panem pomówić o jednej bardzo ważnej kwestyi, potrzebującej namysłu...

— Dobrze — odrzekł Stanisław i zlekka skłoniwszy głową, wyszedł z więzienia smutny i rozdrażniony do najwyższego stopnia.

Gdy nazajutrz przyszedł i zapytał o więźnia, odpowiedziano mu, że tenże powiesił się nad ranem, spędziwszy całą noc na pisaniu listów, które podarł, zostawiając tylko jeden, zaadresowany do niego. Doręczono mu go niezwłocznie.

List zawierał co następuje:

„Nie wierzę zupełnie w możność wyjścia cało z procesu; dążę do Nirwanny, która świat cały powoli pochłania. Umierając, żałuję tylko tego... że nie byłem dość zręcznym, by umknąć w porę, tym razem, jak zwykle, uległem namiętności...

Jakkolwiek nie wierzę temu, byś pan istotnie miał zamiar bronić przed trybunałem mojej sprawy, powierzam panu już nie obronę, ale zatarcie śladów mojej egzystencji. Brat mój, zawsze pelen zastarzałych przesądów, miał dosyć żmartwienia z mojej przyczyny przez całe życie, niechże mu śmierć moja raz spokój zapewni.

Wiem, że sąd skazałby mnie na śmierć za zabójstwo,

ale tego postępku ja nie żałuję — sam skazuję się na śmierć za oszukiwanie brata. — *Józef.*

Za staraniem Skalskiego, gazety zamieszczając wiadomość o wypadku, nie oznaczyły ani narodowości, ani nazwisk, i rzecz cała przeszła prawie niepostrzeżenie.

Wróciwszy z Genewy do Bernu, zastał Stanisław Alfreda daleko zdrowszym. Wróciła przytomność, a wraz z nią straszny smutek zaległ duszę młodego człowieka. Gdy tym razem zobaczył Stanisława, wyciągnął do niego wychudłe ręce, przytulił się do jego piersi, wybuchnął płaczem i długo słowa nie mógł przemówić. Skalski uspokajał go, pieścił jak dziecko, przypominał sobie dawny swój stosunek i żał mu go było niezmiernie.

Alfred był tak osłabiony, że z łóżka jeszcze ruszyć się nie mógł; minęło dwa tygodnie nim wreszcie można było zabrać go do Warszawy.

W Wiedniu zatrzymali się dni kilka, aby zasięgnąć rady lekarskiej. Stan zdrowia i umysłu Alfreda, niepokoił bardzo Stanisława; lekarze upewnili go, że jak na teraz, wystarczający będzie spokój, wypoczynek, środki wzmacniające... Przepisali sposób postępowania z chorym, ale nadewszystko zalecili, ażeby znaleźć mu zajęcie choćby czyisto fizyczne, które zmuszałoby go do oderwania od trapiących go myśli. Alfred był spokojny, łagodny, ale tak miłczący, że nawet na zadawane pytania odpowiadał niechętnie monosylabami; najczęściej siedział podparty na łokciu, wpatrzony w jeden punkt i wyglądał jak skamieniały. Stanisław wiele liczył na zmianę miejsca, powrót do rodzinnej ziemi



wozi z sobą Alfreda, zajęła się zaraz przygotowaniem dla niego stownego pomieszczenia. Ponieważ przed wyjściem za Stanisława, zajmowała się malarstwem i dość dużo czasu poświęciła tej sztuce, Stanisław w nowem mieszkaniu urządził jej pracownię. Wanda nie korzystała z niej, gdyż widząc że talentu malarskiego nie posiada, zajęła się muzyką. Pracownia więc była jej niepotrzebna. Teraz przydała się ona dla Alfreda.

Alfred znalazłszy serdeczną przyjaźń i opiekę, powoli odzyskiwał siły, zdrowie zdawało się powracać; smutek jednak i przygnębienie moralne trwało ciągle. Serdeczna życzliwość, jaką był otoczony, sprawiła tyle, że gdy Skalscy sami tylko byli w domu, rozmawiał słuchał muzyki, niekiedy sam siadał do fortepianu, ale każda twarz obca wprowadzała go w dziwny stan rozdrażnienia, uciekał, krył się w swoim pokoju, zamykając drzwi starannie.

Z nadjeściem lata postanowiono wyjechać na wieś, do Starowoli, jakoż w przesłiczny dzień majowy Skalscy z nieodstępnym Alfredem, zjawili się w starej lipowej alei, prowadzącej do dworu. Turkot powozu wywołał mieszkańców, gromadka dzieci najprzód powitała przybywających. Radość była powszechna, zacząwszy od babuni, a skończywszy na trzechletnim Kaziu, każdy na swój sposób witał przybyłych i gwarno zrobiło się na ganku starego domostwa.

Stanisław spojrzął na Alfreda; ten stał oparty o ścianę, był bardzo blady, a twarz jego wyrażała wielkie cierpienie... Stanisław ujął go pod ramię, wprowadził do domu i skinął na siostrę.

— Zosiu, czy można mego przyjaciela umieścić w dawnym mojem mieszkaniu?

— I-owszem, tylko pozwól, niech je przygotowują; tymczasem może pan zechce spocząć w salonie...

— Dobrze Zosiu, tylko niech nas tam samych zo-

## IX.

dy nakoniec przeciągły świst przybywającej lokomotywy dał się słyszeć, Wanda znalazła się na peronie, w chwilę później w objęciach ukochanego męża. Lzy radości płynęły z jej oczu.

— Wando — rzekł Stanisław, biorąc za rękę Alfreda — oto mój przyjaciel, wszak jest ci już dobrze znany z listów moich, trochę cierpiący, znużony przebytą chorobą i podróżą; ale starać się będziemy aby go wyleczyć i do równowagi doprowadzić.

Wanda serdecznie uścisnęła rękę młodego człowieka.

— Myślę, że to nam przyjdzie z łatwością, będziemy pielęgowali i kochali jak brata pana Alfreda.

Wsiedli do powozu, za chwilę znaleźli się w mieszkaniu, przybranem odświeżnie, oświetlonem jak na przyjęcie liczного towarzystwa. Stanisław śmiał się, żartował.

— Wando, każ zgasić te światła w salonie, bo znajomi przechodząc ulicą, będą myśleli, że dajesz jakieś wielkie przyjęcie, na które nie posłałaś im zaproszenia i narobisz sobie nieprzyjaciół a może też kto, nadzwyczajną wiedziony ciekawością, wstąpi do nas, a choć z natury jestem gościnnie, dziś jednak nikogo mi prócz ciebie nie trzeba...

Jak tylko Wanda dowiedziała się, że mąż jej przy-

stawia; przyjaciel jest trochę cierpiący, zdaje mi się że podróż go zmęczyła...

Weszli do saloniku. Stanisław posadziwszy Alfreda w wygodnym fotelu, usiadł przy nim i ujął go za rękę.

— Co ci jest Alfredzie? co cię boli? — zapytał troskliwie.

— Ach boli, boli — odrzekł młody człowiek — serce, dusza... wspomnienia... O jakiś ty szczęśliwy, Stanisławie... masz matkę staruszkę, którą możesz kochać i szanować.

Wybuchnął spazmatycznym płaczem, łzy lały mu się z oczu.

Stanisław milczał, ściskając tylko rękę młodego człowieka. Te łzy, ten żal wybuchający skargą na zewnątrz, był w stanie biednego chorego bardzo pożądaną reakcją. Gdy powoli zaczął się uspakajać, Stanisław przycisnął go do piersi.

— Mój drogi, młodość twoja przez ciężkie przeszła próby, ale to wszystko minęło już bezpowrotnie... A teraz nie mów, że nie masz rodziny, ja, żoną moją, czyż nie kochamy cię jak brata?... a jeżeli tylko zechcesz, pokocha cię i ta rodzina, której gwarliwe przyjęcie tak cię podrażniło. Wierz mi, to serca złote i niezepsute, ty nie jesteś obcym w tym domu, oni cię wszyscy znają z listów moich. Spojrz każdemu w oczy, zobaczysz tylko najwyższą sympatyę...

Dano znać, że pokój gotów; Stanisław zaprowadził Alfreda. Z rozczuleniem spojrzął na te ściany, gdzie jako dorastający młodzieniec, przemarzył najpiękniejsze w życiu chwile. Stał mu w oczach ojciec... pierwsze jego zainstalowanie w tym pokoiku, niespodzianki, jakie tu zastał, przeszłość już dziś tak odległa, stała przed nim widomie. O tak, dobrze powiedział Alfred... on był szczęśliwy...

miał rodzinę, ta wypełniała wspomnienia przeszłości i stanowiła terazniejszość tak błoga.

Stanisław niechciał ani na chwilę opuścić przyjaciela, pozostał przy nim, dopóki wreszcie, ułożywszy go w łóżku, nie przekonał się, że śpi snem spokojnym.

Teraz dopiero wrócił do swego kółka rodzinnego, gdzie zastępowała go Wanda, swobodnie i wesoło gwarząc z dziatwą, z Zosią i Stefanem; do matki tuliła się mówiąc, że jej tak bardzo brak było od lat dzieciennych matczynego serca, którego nic nie zastąpi. Teraz nic jej do szczęścia nie brakuje — Stanisław dał jej wszystko, dał jej nawet kochającą rodzinę.

— Ach, Stasiu — zawołała Zofia do wchodzącego brata — co za zalotnica ta twoja Wanda, już wszystkim tu głowy pozawracała, każe się kochać i nikt oprócz jej się nie umie; teraz kokietuje mamę, chwalać cię nadmiernie...

— O, wiem ja, wiem, co to potrafi ta osóбка, zrobiła ze mnie posłusznego niewolnika, a władzy jej, nikt oprócz się nie może i każdy kochać ją musi.

Usiadł obok matki, obejmując i przyciągając do siebie Wandę.

— A teraz powiem wam nowinę: Alfred jest na drodze do wyzdrowienia, dzisiejsze wzruszenie, bardzo dobrze na niego podziałało, idzie tylko o to, aby w nim wzbudziło chęć do jakiegoś zajęcia; będziecie mi wszyscy pomagali — nieprawdaż?

— Najchętniej wujaszku — odezwała się Helena, najstarsza z dzieci Zofii — biedny pan Alfred... a musi być bardzo dobry, skoro tak boleje nad stratą matki...

— Helenka ma serce litościwe, a jest jakby stworzona na pocieszycielkę młodego, ładnego chłopca... — rzekł śmiejąc się Stanisław.

— Wujaszek żartuje sobie ze mnie i ma wielką słu-

szność, bo wyrwała się nie w porę z odpowiedzią. Przecie ja dobrze rozumiem, że dla pana Alfreda jestem niczem i ani uspokoić, ani pocieszyć bym go nie umiała; tylko mam dla niego wiele współczucia i żal mi go, a kiedy wujaszek zawezwał wszystkich, odpowiedziałam w imieniu dzieci, bo jestem przecie najstarsza.

— Masz słusność Helenko, odpowiedziałas dobrze, a wujaszek przeprasza — rzekł Stanisław, całując zarumienioną siostrzenicę.

Nazajutrz Alfred wyglądał trochę lepiej, oczy straciły wyraz martwoty, który w nich dotąd przemagał. Po śniadaniu dał się dzieciom zaprowadzić do ogrodu, zwiędził go z nimi; poczem upatrzwszy sobie ławeczkę w jakimś cienistym zakątku, usiadł, zamyślił się, a dzieci pozostawiły go samego, spotkawszy zaś wuja, powiedziały mu, że nie chcąc przeszkadzać panu Alfredowi, zostawiły go w ogrodzie. Stanisław wkrótce nadszedł i usiadł obok niego.

— Jak to dobrze, że przyszedłeś tu do mnie, Stanisławie, pragnąłem właśnie rozmówić się z tobą. Od rana jedna myśl mnie zajmuje. Powiedz mi, czy ja mam jakie środki utrzymania? kto poniósł kosztą mojej choroby, podróży? Dziwnem to ci się zapewne wydawać musi, że po trzech miesiącach, dopiero po raz pierwszy robię ci to zapytanie; ale wierz mi, że dziś uczułem zaledwie jakąś możliwość prawidłowego myślenia, skutkiem czego, czuję wielką trwogę, czy nie zeszedłem do roli pasożyta, wyzyskującego uczucia przyjaźni...

— Nie troszcz się o to mój drogi; przyznam ci się, że wśród nawału zajęcia, jakie zastałem wróciwszy do domu, nie miałem czasu jeszcze, rozpatrzeć się w twoich interesach i jak na teraz, nic ci o twoim stanie majątkowym powiedzieć nie mogę. Jak tylko wrócę do Warszawy, natychmiast wezmę się do przejrzenia papierów, a tymczasem, jesteś gościem moim w mieście i na wsi...

— Czemże ja ci się kiedy zdołam wywdziękzyć, najzaczniejszy mój przyjacielu?

— Dajmy pokój temu, jestem tak wiele dłużny ojcu twojemu, że się nigdy nie zdołam wypłacić...

— Wiesz Stanisławie, ja zmarnowałem całą młodość, nie umiem nic, do żadnego nie uzdolniony jestem zajęcia; zdaje mi się, że z majątku ojca pozostało nic, albo też bardzo niewiele... radź mi, co teraz robić?... zamłody jestem, aby żyć z łaski.

Bądź spokojny, obmyślimy ci zajęcie, tylko przedewszystkiem potrzeba, abyś wrócił do zdrowia i nabrał sił. Niepodobna też, by z tak znacznego majątku nie pozostało ci na skromne utrzymanie. Gdybyś się dalej chciał kształcić w malarstwie, mógłbyś powrócić do Monachium.

— Nie, Stanisławie, to nad siły moje, dla mnie potrzeba ciszy, zapomnienia... ja ludzi się boję... moje nazwisko... ach ja się go dziś wstydę... Zakrył twarz rękami.

— Uspokój się, nazwisko twoje ze czcią wymawiane jest przez wszystkich, co znali ojca twojego; o tem, co zaszło zagranicą, tu nikt nic nie wie; wreszcie nieszczęście nie jest zbrodnią. Umysł twój podniecony chorobą, wprawia cię w rozdrażnienie, niedozwalające ci widzieć rzeczy we właściwym świetle. Wierz mi, że przyszłość twoja od ciebie tylko zależy, możesz ją jeszcze uczynić świetną, sławną; jesteś młody, uzdolniony, jak zdrowie wróci, weźmiesz się do pracy i czas stracony odzyskasz.

— Zdaje mi się, że się mylisz Stanisławie, jestem złamany moralnie... nie odzyskam już nigdy wiary w siebie, wiary w przyszłość...

Zabawiwszy dziesięć dni w Starowoli, Skalscy musieli wracać do Warszawy; Alfred tak upodobał sobie pobyt na wsi, że powiedział do Stanisława:

— Gdybym wiedział, że nie popełnię niedelikatności, to zostałbym jeszcze tutaj...

— Owszem, zrobisz największą przyjemność mojej rodzinie, przytem wieś na zdrowie twoje bardzo dodatni wpływ wywrze, zostań więc, dopóki nie zapragniesz powrotu do miasta.

Wkrótce Stefan i Zofia najserdeczniej zaprosili Alfreda, by uważał ich dom za własny. Stanisław przysłał z Warszawy ogromną pakę, zawierającą przybory do rysunków i malowania. Młody człowiek odzyskiwał zdrowie, siły i równowagę umysłową; z każdym dniem czuł się lepiej i wcielił się niejako do rodziny. Lubiono go bardzo, choć był małowówny i bardzo smutny, a może nawet dla tego budził sympatyę w tych sercach prostych i życzliwych. Po paru tygodniach pobytu rozpiął płótno i długie przed nim z paletą i pędzlami pędził godziny, starannie jednak ukrywając zaczęta robotę.

Po powrocie do domu, Skalski wziął się do przeglądania papierów po Dorze. Smutne to były dokumenta bezmyślnej rozrzutności, nienasyconej żądzy zabaw, chęci błyszczenia, choćby pożyczanym blaskiem... Cały ogromny majątek strawiony. Skutkiem mozolnych poszukiwań, udało się na koniec Stanisławowi wyciągnąć piętnaście tysięcy rubli, które dziś stanowiły cały majątek Alfreda. Było to mało, ale młody człowiek złamany życiem, już taraz niewiele potrzebował. Stanisław napisał do niego, przedstawiając mu rzecz całą i pytając, co dalej czynić zamierza.

Po odebraniu tego listu, Alfred stał się jeszcze więcej milczącym niż zwykle, wpadł w zamyślenie, poszukiwał samotności. Stefan widząc go kiedyś ze spuszczoną głową siedzącego w ogrodzie, zaproponował mu przejażdżkę do lasu, dokąd jechał właśnie, aby dojrzeć jakiejś rozpoczętej roboty.

W lesie Alfred odezwał się do Stefana nieśmiało:

— Od dni kilku noszę się z jednym projektem, ale jak panu wiadomo, od czasu mojej choroby stałem się tak małowównym, że chwilami zdaje mi się, że przyjdzie kiedyś dla mnie czas zupełnej niemoty. Pan i cała jego rodzina jesteście dla mnie bardzo dobrzy, ale wierzyć temu mi trudno, bym osobą moją mógł wam robić przyjemność... a zebrać się nie mogę na odwagę, by opuścić wieś, wrócić do miasta, zobaczyć tłum... Parę dni temu odebrałem list od Stanisława; donosi mi, że udało mu się zebrać ze szczątków majątku, pozostawionego mi przez ojca, jakąś drobną sumkę... Ja ten las lubię, poznałem w nim każdy zakątek. Widziałem tu jakiś domek z ogródkiem niezamieszkały, czy nie mógłbym go nabyć od pana? Przestałbym być państwu ciężarem, a sobie stworzyłbym jedyną dla mnie możliwą egzystencję. Proszę pana, zrób mi tę łaskę.

Stefan zamyślił się chwilę.

— Pan mówi o domku nadleśnego, istotnie jest on teraz pusty... ale wątpię, aby to było mieszkanie odpowiednie dla pana; zresztą Starowola nie jest moja, ja tu gospodaruję, ale właścicielem tego majątku jest Stanisław, to własność Skalskich i przy nazwisku pozostać musi; projekt pana musiałby przedewszystkiem zyskać jego aprobatę. Ale pozwól mi jednak zrobić pewną uwagę. Jesteś pan młodym, życie twoje długim być może; jeśli zamieszkałszy wśród lasu, sam jeden pędzić będziesz czas bezczynnie, to wierz mi, że przyjdzie jakieś zdziwienie, mizantropja, a wreszcie staniesz się istotą zupełnie nieużyteczną ani sobie, ani ludziom. Nieszczęście, które cię spotkało, znam, rozumiem jego ogrom i mam dla ciebie współczucie najgłębsze, ale powiem ci szczerze, panie Alfredzie, że leczyć rany, serca i duszy najlepiej można pracą. Lubisz wieś i masz niewielki kapitał, możesz nabyć w sąsiedztwie Starowoli majątek, który właśnie jest do zbycia

na bardzo korzystnych warunkach. Weźmiesz się do gospodarstwa, ja w każdej chwili z pomocą i radą pospieszę, będziesz miał swój dom i ogród własny, trochę pola, inwentarz, i życie twoje pójdzie prawidłowo. Ale koniecznie pracować musisz, kochany Alfredzie. Jeżeli chcesz, pojedziemy obejrzeć twoje przysze dziedzictwo...

— Ale czyż ja będę zdolny do takiego zajęcia?

— Lubisz wstawać rano lubisz chodzić bez celu, otóż będziesz miał cel, doglądać będziesz swego mienia, wreszcie ja dopilnuję, żebyś rąk nie opuszczał.

Pojechali i obejrzeni folwarczek. Właściciel jego był dawnym ofycjalistą; na starość za grosz pracowicie zebrany, kupił sobie kawał ziemi pod lasem, pobudował domek, obórkę, założył ogród, a wszystko praktycznie, z wielką znajomością rzeczy. Nie miał żony, ni dzieci, kochał się tylko w tem skromnem gospodarstwie, które w zupełności wystarczało jego wymaganiom. Krewni jego zajmowali się rzemiosłem; po śmierci staruszka zebrali trochę uciulanego grosza i pragnęli co prędzej pozbyć się chaty i pola.

Z łatwością przyszło do ugody i Alfred w jesieni osiadł już u siebie.

Dobrą była rada Stefana — w młodym człowieku przebudziła się uszpiąta energia i pod kierunkiem przyjaciela wziął się do gospodarstwa.

Gdy wiosna zazieleniła pola i łąki, młody gospodarz konno, lub pieszo, prawie codzień zaglądał do Starowoli, a na ustach jego coraz częściej pojawiał się uśmiech, przez tak długi czas niewidziany.

Tej zimy gość nowy zawitał do domu państwa Skalskich, Wanda została matką i maleńki Staś o dużych czarnych oczkach, nowem szczęściem obdarzył kochającą się parę.

Na chrzciny cała zjechała rodzina; Starowola opustoszała na całe dwa tygodnie; Alfred pozostał w domu, do wyjazdu niktby go skłonić nie zdołał.

Wanda bardzo rada gościom, przyjmowała ich serdecznie, wozila do teatrów, na koncerta, wystawy...

Panienki — starsza Helena miała już rok siedemnasty a Maryni czternaście — po raz pierwszy będąc w Warszawie, ciekawie oglądały wszystko, ale gdy im zaproponowała, by pozostały u niej na dłużej, odmówiły.

— Nam tak dobrze na wsi przy rodzicach, coby tam bez nas się stało, z naszym gospodarstwem...

— Sąsiadem — podchwycił Stanisław.

Marynia się roześmiała, Helenka zarumieniła mocno.

— Wujaszek zawsze lubi mi się sprzeciwiać...

Wanda ze Stefanem prowadziła rozmowę o gospodarstwie; wychowana na wsi, umiała podtrzymać długo tego rodzaju rozprawy.

Matka Stanisława tak była szczęśliwa i zachwycona swoim wnukiem, że się z nim wcale rozstawać nie chciała.

— To dziecko mnie odmładza; gdy patrzę na nie, zdaje mi się, że widzę mego Stasia w kolebce... Ach! jak on podobny do niego... Patrz Stasiu, to zupełny twój portret... ty nawet zupełnie tak samo uśmiechałeś się do mnie...

Stanisław ze czcią całował ręce matki.

Ostatnia to już była radość i podróż staruszki. Od śmierci męża, zawsze cierpiąca, powróciwszy do domu, zachorowała; wezwany doktor smutnie pokiwał głową i przepisał środki wzmacniające, — wnet potem zażądała księdza i przyjęła ostatnie Sakramenta.

Otoczona ciągle dziećmi i wnukami, mówiła do nich spokojnie o nadchodzącej śmierci, o połączeniu się znów z ukochanym mężem; zalecała im, by się kochali i wspierali wzajemnie...



Stanisław, zawiadomiony o chorobie matki przyjechał niezwłocznie. Nie opuszczał prawie jej łóżka. I tak zacna matrona, otoczona czcią i przywiązaniem, prawie bez cierpień, zamknęła strudzone powieki.

Po pogrzebie, Stanisław wrócił do żony i dziecka. Nowy ten cios smutkiem nappełnił jego duszę, on kochał matkę tak szczerze... Wanda odczuwała żywo poniesioną stratę, ale uśmiech dziecka, starania, jakich ciągle wymagało, powoli koili jej smutek. Wspominali często, staruszkę, Stanisław, opowiadał przy tem o swoich latach młodości, gdzie na każdym kroku spotykał tę niewyczerpaną miłość macierzyńską, której aż do śmierci dawała mu dowody. Wanda tuliła synka do piersi, mówiąc: — Czy i ty, mój mały, zachowasz w twem sercu takie o matce wspomnienia?..

Ze swych stron rodzinnych Wanda niedobre miała wiadomości: majątek jej źle administrowany, coraz mniejsze przynosił dochody — obecność jej była niezbędna; wybrała się więc z mężem i synkiem do dóbr swych, przedtem jednak uprosiła pana Stefana, by im towarzyszył.

Doświadczony gospodarz, z przerażeniem prawie przekonywał się o dziwnem niedołęztwie, z jakim prowadzono dotąd gospodarstwo, oświadczył, że w dalszym ciągu postępowanie takie groziło zupełną ruiną. Na prośby Skalskich podjął się administracji majątku, w Starowoli wszystko tak było urządzone, że gospodarstwo nie mogło cierpieć na częstych wyjazdach, do jakich będzie zmuszony.

Wreszcie Różański lubił trudności pokonywać, zaprowadzać nowy porządek; oddawna już nosił się z myślą kupienia majątku; Starowola nie wiązała go tak dalece, zaprowadził w niej wszystkie ulepszenia, podwoił

dochód, ale to nie wystarczało mu; nie czuł się dosyć zatrudnionym.

Zofia, która dotąd nie rozstawała się prawie nigdy z mężem, cierpiała bardzo, gdy wyjazdy jego stawały się coraz częstszymi, a nieobecność jego w domu trwała po kilka tygodni. W tęsknocie i niepokoju pędziła życie, tem smutniejsza, że śmierć matki pozbawiła ją owej serdecznej, kłiwej przyjaźni, do której od lat najmłodszych przywykła.

Zajmowała się bardzo gospodarstwem, wychowaniem dzieci, czuwała nad rozwojem i kierunkiem moralnym córek, ale mimo to wszystko, serce jej pogrążone było w głębokim smutku.

Teraz, gdy Stefan powracał do domu, krom spraw gospodarskich, tysiączne na niego czekały interesa, — wszystko zdawał się załatwiać z pewnem gorączkowym rozdrażnieniem.

— Co tobie jest, Stefanie? — pytała Zofia męża. — Od czasu jak objąłeś tę nieszczęsną administrację dóbr Wandy, stałeś się obojętniejszym dla rodziny, jesteś roztrągniony; tutejsze sprawy traktujesz dorywczo, zdawałoby się, że tam zostawiłeś dom i rodzinę, a tu jesteś tylko gościem. Dotąd nie miałeś dla mnie tajemnicy, a dziś chmurne twe czoło kryje strapienie, którego nie znam, Oddaj mi połowę ciężaru — wszak mi do tego daje prawo tyloletnie nasze przywiązanie, tyle już razem trosk i zgryzot przeżyliśmy we dwoje, wspierając się nawzajem...

— Masz słuszność, droga Zosiu, a jednak bardzo mi ciężko wyznać ci dziś to, co jest powodem mojego obecnego strapienia, wiem, że wielką sprawę ci przykrość... ale masz prawo wymagać odemnie odkrycia przed tobą najgłębszych tajników myśli moich. Oto, biedna Zosiu, wypadnie nam niezawodnie opuścić Starowolę; znam

twoje przywiązanie do rodzinnego zakątka, ale zważ tylko, czy nam wolno jest poświęcać dla osobistego przywiązania przyszłość dzieci?... Starowola jest bardzo nieintratna, przytem nie jest naszą, ale Stanisława własnością; dzieci mamy czworo. Helenka już dorosła, lada dzień może nadejść chwila wydania jej za mąż, a gdzież jest posag, wyprawa? Wychowanie dzieci kosztuje nas wiele, a w tym razie oszczędzać niepodobna! Janek niedługo pójdzie do uniwersytetu... a wtedy i Kazia do szkół oddać będzie potrzeba... Gdybyśmy zamiast przenosić się do Starowoli, pozostali na naszej dzierżawie, o ileż lepiej stałyby dziś nasze interesa... Ale spełniliśmy obowiązek, pośpieszyliśmy z pomocą rodzicom i tego wcale nie żałuję... lecz dziś zmieniły się stosunki. Stanisław może tu umieścić rządce, od czasu do czasu przyjechać, dla sprawdzenia rachunków i obejrzenia gospodarstwa, a my wycofamy nasz kapitał, wyjedziemy w inne strony, gdzie praca nasza wywalczy niezależną, przyszłość dla naszych dzieci.

Zofia słuchała w milczeniu, łzy z wolna spływały po jej twarzy; Stefan spojrział na nią, a widząc że płacze, z pośpiechem zbliżył się do niej i przytulił do piersi.

— O jeśli tak, Zosiu, jeżeli ty masz cierpieć, to już nie mówmy o tem... zostaniesz się w twojej wiosce rodzinnej, a ja sam pójdę pracować. Widzisz, że miałem słuszną zachowywać dla samego siebie moje teźniejsze zgryzoty.

— Mylisz się! niech cię łzy moje nie trwożą; znam moje obowiązki i spełnię je. Że mi drogą jest ta wioska, nie dziw się, tu się urodziłam, tu wzrosłam, tu pokochołam ciebie i przeżyłam długie lata, tu spoczęły prochy ukochanych rodziców moich... ale „opuścisz ojca i matkę, a pójdiesz za mężem“, — tam gdzie ty, i ja być powinnam; wreszcie od czasu gdy nie jesteś przy mnie,

jakże smutno i posepnie płynie mi życie... Wolę twą spełnić jestem gotowa... mam w twoim rozumie i sercu bezgraniczne zaufanie; działaj więc jak trzeba, a gdy powiesz „jedziemy“, bez skargi pójdę za tobą...

— Jakże ty dobrą i kochającą jesteś, moja Zosiu — mówił Stefan, całując ręce zacnej kobiety, która tłumiać żal głęboki, przez łzy uśmiechała się do niego.

Długo z sobą rozmawiali jeszcze. aż wreszcie gwar ożywionej rozmowy, prowadzonej na ganku, doleciał ich uszu. Wyszli, aby zobaczyć, kto się tam znajdował.

Ktoby od trzech lat uie widział Alfreda, z trudnością mógłby się domyśleć, że młody, dziarski, mocno ogorzały mężczyzna, rozmawiający swobodnie z panienkami, był ten sam wątły, chory, błydy młodzieniec, którego szmer głośniejszej rozmowy, na tymże samym ganku, spazmatycznego nabawił płaczu. Pan Stefan okazał się znakomitym lekarzem, praca uzdrowiła fizycznie i moralnie Alfreda.

Od roku jednak dziwna zmiana zaszła; Alfred pracujący dotąd machinalnie, często jedynie, by stłumić ból moralny fizycznym znużeniem, zaczął myśleć o ulepszeniach w majątku, a przytem wziął się z nadzwyczajną energią do upiększenia swojej siedziby.

Tych zmian tak pożądaných, powodem była miłość, Alfred, smutny odludek, tyle doznawał dowodów sympaty od całej rodziny Różańskich... tyle razy widział piękne oczy panny Heleny, błyszczące łzą współczucia... mógłże się oprzeć jej urokowi?

Z początku walczył ze swoim uczuciem, twierdząc, że nie miał prawa łączyć losów kobiety ukochanej ze swoim smutnym przeznaczeniem... jednakże w jakiejś chwili rozrzewnienia zapytał nieśmiało Heleny, czy ze-chciałaby być mu wszystkim na świecie... a sploniona

panienka wyznała cichutko, że jeśliby rodzice nic przeciwko temu nie mieli...

Od tej to chwili nastąpiła owa zmiana w usposobieniu młodego pustelnika. Stefan serdecznie powitał sąsiada.

— Dziwy mi tu o tobie opowiadają młodzieńcze, podobno ósmy cud świata zrobiłeś z twego dworu — ogrody, klomby, fontanny!..?

— Czyż to się tak godzi szydzić ze swego posłusznego ucznia i wychowanka, panie Stefanie? Któż to mi tę wskazał drogę? Zresztą i to niepięknie, że pan nie był już u mnie więcej niż od roku, a o tem co się dzieje, wie tylko z opowiadania. Przyszedłem właśnie, dowiedziawszy się o przyjeździe pana, prosić do siebie na skromny podwieczorek z całą rodziną. Wszak mi pan nie odmówi?

— A no cóż, jeżeli moje kobiety nic przeciwko temu nie mają, to będziemy u ciebie około piątej.

Panie nie wystąpiły z opozycją.

Alfred zabawiwszy niedługo, podziękował, pożegnał się i pośpieszył do domu, aby przygotować przyjęcie dla upragnionych gości.

O oznaczonej godzinie Alfred witał ich z radością. Zaczęto od zwiedzania ogrodu, zabudowań gospodarskich, obejrzano sadzawkę, piękne klomby i kwiaty. Młody gospodarz uzyskał mnóstwo pochwał od pań i zupełną aprobatę swego mistrza.

— Jedno tylko dziwi mnie, mój Alfredzie, że tak jakoś zniewieściałeś; z surowego anachoreta, jakim cię znałem jeszcze niedawno, stajesz się zupełnym sybarytą; co za wygodne ławeczki, jakie ścieżki, co tu kwiatów!.. a ta altanka, niby zielona grotka, zdaje się zapraszać do wnętrza. Mój drogi, twoja samotnia przybiera pozór, jakby za wygodną była... dla jednego.

Alfred spuścił oczy, zarumienił się jak dziecko schwytane na gorącym uczynku; chciał coś odpowiedzieć, ale serce biło mu za mocno, tłum myśli rozkosznych zalewał głowę, nie mógł wymówić ani słowa. Rożański nie domyślając się tego, co się działo w duszy młodego człowieka, sądził, że mimowoli zrobił mu przykrość.

— Nie bierz mi za złe, Alfredzie, żartów moich — rzekł Rożański, — nie dziwi mnie wcale że ty, artysta, potrzebujesz w około siebie mieć trochę estetyki, przeciwnie, upatruję w tych upiększeniach stanowczy powrót do zdrowia i cieszę się tem prawdziwie.

Wesoło rozmawiając, całe towarzystwo weszło do domu, gdzie przygotowany był podwieczorek. W saloniku zatrzymano się, ciekawie oglądając obrazy, wszystkie utworu Alfreda. Były tam ładne główki, pejzaże, kopje obrazów mistrzów dawnych, przywiezione z zagranicy i wiele widoczków, brane z różnych punktów Starowoli — oglądano, chwalono; Helena bladła i czerwieniła się co chwila, każdy bowiem z tych obrazków miał dla niej znaczenie gorącego wyznania miłości, których usta Alfreda nie wymówiły, ucho nie słyszało nigdy, a jednak serce czuło i powtarzało...

— Ato co? Alfredzie! — zawołał nagle Rożański — to portret mojej córki... Przyznam ci się, że... uważam to za niestosowne — mówił powoli i jakby niechętnie.

Alfred stał pomięszany.

— Czy zbyt wiele liczyłem na okazywaną mi życzliwość państwa?... Śmiałość moja pana oburza... jam parya, skazany na wieczną samotność serca... pana obraża miłość moja dla panny Heleny?... Ale mogłoby być inaczej?... Widywać ją tak często, poznać jej umysł wzniosły i serce szlachetne i nie pokochać jej... na to

potrzeba być głazem... Pan sam we mnie rozbudziłeś chęć do życia i nadzieję...

Nie mógł dłużej mówić, twarz jego przybrała wyraz niezmiernego cierpienia? Stefan ujął go za rękę.

— Alfredzie — rzekł — mówmy rozsądnie, wszak dotąd nie było mowy o miłości twej dla Heleny, a tem samem nieukontentowanie moje łatwo daje się wytłumaczyć. Portret paniąki w domu młodego człowieka nie jest na swoim miejscu.

— Portret ten oddam panu, ale czy mogę mieć nadzieję...

— Słuchaj Alfredzie, takich rzeczy nie traktuje się dorywczo, potrzebuję kilka dni do namysłu. We czwartek przyjedź po odpowiedź.

Rozmowa, prowadzona półgłosem, nie uszła uwagi kobiet, udały jednak, że są bardzo zajęte oglądaniem albumów, rozrzuconych na stole w drugim rogu saloniku.

Alfred zaprosił na powieczorek. Wszyscy starali się być weseli, rozmowa jednak plątała się ciągle, cień smutku padł odrazu na to całe, przed chwilą tak ożywione towarzystwo. Niedługo potem młody gospodarz zegnał swych gości.

Powóz państwa Stefanów potoczył się drogą — za chwilę wysiedli wszyscy przed gankiem; przez drogę nie zamieniono ani słowa. Nawet zwykle wesola i szczerbiotliwa Marylka zachowywała posępne milczenie. Stefan oddał rękę żonie, mówiąc:

— Chodź Zosiu, mam z tobą do pomówienia w ważnej bardzo sprawie.

Paniąki stały przed domem, goniąc wzrokiem rodziców, niknących w cienistej alei.

Marylka spojrziała na siostrę.

— Helciu, czegoś takę smutna i błada? Ją ci powiadam, że się to wszystko skończy jaknajlepiej...

— Co się skończy? o czem mówisz Marylko? Nie rozumiem — z wysiłkiem tłumiąc łzy, mówiła Helena.

Trzpiotka objęła siostrę w pól.

— Oj Helciu, Helciu, tobie się zdawało, że masz przedemną tajemnicę, o! to nie tak łatwo, jak się zdaje, dobre ją mam oczy, i... jestem ciągle twoim sprzymierzeńcem. Ja bardzo kocham pana Alfreda i z przyjemnością bratem będę go nazywała. On dziś się ojcu o ciebie oświadczył, widziałam że ojciec się zachmurzył, ale w końcu po przyjacielsku się rozstali. Nie martw się siostrzyczko, będziesz panią Krońska; jeżeli ojciec się oprze, będziemy go obie z mamą prosiły, a wreszcie pan Alfred ma za sobą wuję Stanisława, a gdy taki adwokat weźmie waszą sprawę, to ją przecie wygra.

— Marylko, Marylko, czemu ty się takimi zajmujesz rzeczami? Jesteś za młoda... Ale jakaś ty dobra, kochana siostrzyczko, ale... ale... czy ty nie słyszałaś ani słowa z tego, co oni mówili z sobą?... Co to za obraz Alfred oddał ojcu?...

— Owszem, słyszałam, Helciu, mówił „kocham pannę Helenę!... A ten obraz, czekaj, ojciec go kazał zanieść do kancelaryi; pójdź Helciu, zobaczymy; rodzice nieprędko nadejdą, nikt się nie domyśli...

— Niewypada, nie godzi się Marylko...

— E... co tam!... chodź, chodź prędzej! — mówiła, ciągnąc za sobą słabo opierającą się siostrę.

Weszły do kancelaryi; Marylka szybkim ruchem ręki uniosła papier i krzyknęła:

— Ach, jakaś ty śliczna, Helenko! Jak żywa!... zupełnie jak żywa!...

Helena stała zdziwiona, szeroko otwartemi wpatrując się w obraz oczami.

— Ach, jak on mnie kocha;... O, jakże ciężko mi będzie poddać się woli rodziców, jeżeli...

Lzy długo tłumione polały się z jej oczu.

Marylka pocałunkami i szczebiotaniem starała się uspokoić siostrę, bardzo zadowolona z swej roli pocieszycielki w tego rodzaju zmartwieniach, wszak to ją stawiało w rzędzie dorosłych panien.

Tymczasem Rożański z żoną usiadłszy na ławeczce oddalanej od domu, radził poważnie nad tem, co czynić wypada. Alfred znalazł gorącego obrońcę swej sprawy w osobie Zofii, która mówiła, że oddawna zauważyła uczucia młodych ludzi, wiedziała, że Helena nie jest obojętną dla Alfreda. Pani Zofia mówiła, że ze swej strony nie stawiała żadnej przeszkody, jej winą przeto być może, jeżeli oboje zamiast spodziewanego szczęścia, znajdują zawody i cierpienia.

Stefanowi małżeństwo to nie przypadało do gustu i coraz nowe przeciw niemu znajdował argumenta.

Wreszcie stanęło na tem, że Alfredowi naznaczy rok zwioki, a Helenę na ten czas wyprawi do Warszawy. — Jeżeli to ich uczuć nie zmieni — dodał — wtedy zezwolę na ich połączenie; prędzej nie, są młodzi, mogą zaczekać...

Zofia opuściła głowę w milczeniu — nie chciała drażnić męża; jak na teraz, dosyć było dla niej, że nie odmówił stanowczo.

Właśnie zmierzali ku domowi, gdy tuman kurzu, podnoszący się na drodze, zwrócił ich uwagę; poszli więc ku lipowej alei, w którą wjechał niebawem powóz, wiozący Stanisława.

Przywitali serdecznie nieoczekiwanego gościa.

— Zgadnijcie w jakiej dziś przed wami mam wystąpić roli?...

Gdy oboje milczeli, mówił dalej:

— Przybywam tu w roli swata, uproszony przez Alfreda. Oddajcie mu Helenkę, oni kochają się szczerze przyznam ci się Stefanie, że skojarzenie tego związku jest spełnieniem marzeń moich; wiesz, jak kocham Alfreda, a Hela to przecie moja faworytka!... oni z pewnością będą z sobą szczęśliwi. Cóż, dobrze? Kiedy wesele?...

— Parę godzin temu — rzekł Stefan — Alfred mi się oświadczył, obiecałem dać mu za trzy dni stanowczą odpowiedź, ale ja się na to małżeństwo jakoś inaczej zapatruję; Alfreda cenię, jednak... zięcia... może wolałbym innego. Mam pewne uprzedzenia... obawiam się dziedziczności wad matczynych... on ma niewiele, dotąd smutek trzymał go zdaleka od świata, ale kto wie, czy gdy się ożeni i pózbędzie się smutku, nie zechce się nowo rzucić w wir zabaw, bo jak mówi francuskie przysłowie: „qui a bu, boira“. Cóż wtedy stanie się z Helenką? jaka będzie jej przyszłość? — prócz strasznych cierpień moralnych, grozi jej nędza, bo przecie ja jej majątku dać nie mogę, mam czworo dzieci.

Mylisz się Stefanie, nie znasz charakteru Alfreda, zarzuty twoje są niesłuszne; w warunkach, w jakich się znajdował od ośmnastego roku życia, któżby się oparł pokusie? Ale na dwa lata przed nieszczęsną katastrofą usunął się do Monachium, gdzie prowadził życie porządne i pracowite; wtedy to już rzekł się owych zradnych rozkoszy i zrozumiał całą ich nicość. Chciał sobie wywalczyć imię, sławę, pracował wytrwale i zmierzał do celu, gdy nagle straszna katastrofa złamała mu życie. Od trzech lat, jak tu między wami przebywa, cóż mu zarzucić można?...

— Teraz nic zupełnie, ale ja się o przyszłość obawiam.

— Stefanie przyszłość twojej córki jast mi równie

drogą, jak tobie, a jeśli cię proszę byś ją oddał Alfredowi, to wierz mi, że żadne nie grozi jej niebezpieczeństwo. Wreszcie ona go kocha... czy ty nie wiesz o tem?

— Zosia mi o tem mówiła, zgodzić się będę musiał, gdy mam wszystkich przeciwko sobie, ale niech jeszcze jeden rok zaczekają. Są młodzi.

— Dziwny argument!.. Przypomnij sobie, Stefanie, jak lat temu dwadzieścia nie chciałeś słyszeć o zwłoce... a twoje do Zosi konkuby, od chwili poznania jej na balu u Jawornickich, trwały tylko rok jeden.., czyś już zapomniiał?..

— A to się dopiero zabrał do mnie adwokat; czy ci się zdaje, że stoisz przed kratkami i sprawę wygrać musisz?

— Naturalnie, że wygram — z uśmiechem rzekł Stanisław. Opuścisz mi przecie kilka miesięcy z tego tam roku, a może je na tygodnie zamienimy i za dwa-naście tygodni połączymy młodą parę. Posag Helenki ja biorę na siebie — kupuję dla niej Zwirówkę, osieroconą przez śmierć szlachetnego Salomonowicza. Rzecz da się załatwić w Warszawie, chciałbym tylko wiedzieć, czy ją warto nabywać?

— Salomonowicz był to finansista, ale nie gospodarz, majątek więc, jak na teraz, jest w oplakany stanie, nabyć go jednak można, jeśli się uda zapłacić niedrogo. Każdy kawałek ziemi wydać może obfite owoce, byle pracować. Szczególniej dobrze jest dla młodego gospodarza, gdy odrazu wypadnie mu łamać się z trudnościami, to, co sam stworzy, ukocho lepiej i stalej, niż to, co mu cudze zgotują ręce.

— A więc moja chrzestna córka dostanie odemnie w posagu Zwirówkę, a wyprawą zajmie się Wanda.

Oddawna prosiła mnie o to i obiecałem jej, uzyskać wasze zezwolenie...

— Ależ, Stanisławie, to być nie może, Helenka jest naszą córką...

— Przepraszam i moja, wreszcie dajmy temu pokój i sprzeczkę odłóżmy na później, bo oto widzę, że dzieci zmierają tu w naszą stronę.

W istocie Marylka, przed której okiem nic ukryć się nie mogło, dojrzała powóz, zajeżdżający przed stajnię, domyśliła się kto przyjechał i pociągnęła za sobą Helenę na spotkanie wujaszka.

Po serdecznem powitaniu, Stanisław uważnie popatrzył na Helenę.

— Dla czego masz oczy czerwone? Pewno płakałaś — Kto mi skrzywdził dziecinę? — dodał pieszczotliwie, tuląc ją do siebie.

— Nic, wujciu drogi, nic...

— Tylko nie kłam przed wujaszkiem... Otóż za karę ja będę zgadywał; a Marylka powie, czy mam słuszność.

— Dobrze, dobrze, wujciu, ale ja pewna jestem, że wujcio tego nie może się domyślić, czego płakała Helenka...

Marylka spóściła oczy i zarumieniła się mocno, zagryzła wargi; zrozumiała, że powiedziała zawiele.

— Helenka — rzekł Stanisław — ma serce tklive i płakała nad losem bliźniego!.. Ach! biedny Alfred, jaki on samotny, jaki smutny, a jaki niespokojny!.. Żal ci go Helciu, prawda? No, aleśmy tu właśnie debatowali we troje, jakby skrócić jego męczarnie i samotność... i wyobraź sobie, z całym okrucieństwem, postanowiliśmy poświęcić cię, jeżeli naturalnie z twej strony nie znajdziemy stanowczego oporu...

— Ach, wujaszku, jakiś ty dobry, jak ja cię kocham!

— Cóż, więc zgoda? A czego Hela płakała, Marylko?

— Bo się kocha w panu Alfredzie i bała się, że ojciec jej za niego wyjść nie pozwoli, ale ja jej zaraz powiedziałam, że wujcio dobry adwokat i sprawę jej wygra...

— Chodź-że tu, niech cię ucałuje — rzekł Stanisław, a Marylka wesoło obejmowała go za szyję...

W trzy miesiące potem w Starowoli odbył się ślub Heleny; na wesele nie proszono nikogo, gdyż, jak o łaskę błagał o to Alfred.

— Zdziçałem — mówił — boję się ludzi, chyba Helena ulaskawi z czasem swojego niedźwiedzia, a wtedy posłuszny pójdzie między ludzi za swoim pogromcą.

Chociaż Helena dostała w posagu Zwirowkę, gdzie dwór był piękny i obszerny, a nawet umeblowany, gdyż spadkobiercy Salomonowicza cenniejsze tylko zabrawszy przedmioty, pozostawili resztę na miejscu, młoda para jednak zamieszkała w ślicznym dworku pod lasem. Stanisław cieszył się szczęściem młodej pary, uczynił wszystko, co tylko było w jego mocy, by im przyszłość pomyslną zapewnić. Nakoniec spłacił dług wdzięczności, zaciągnięty tak dawno względem Krońskiego.



X.



O powrocie ze swego majątku, Skalscy wrócili do stosunków towarzyskich, trudno im było bez śmieszności usuwać się zupełnie od świata, wreszcie czuli się tak szczęśliwymi, że byle tylko razem, wszędzie im było dobrze; najlepiej jednak, najweselej, najmilej, gdy wśród nich znajdował się Stasieczek. Dziecię rosło zdrowo, rozwijało się z dniem każdym, coraz więcej wymawiało wyrazów, śmiało się wesoło, figlowało po swojemu, dostarczając rodzicom niewyczerpanego źródła rozkoszy.

Modne damy ze złośliwym uśmiechem, przezwwały Skalskich „Monsieur, Madame et Bébé“; twierdząc, że to była przesada, brak dobrego tonu, jednym słowem „bourgeois“, takie życie w ciasnym kółku domowym. Któż bo słyszał, by ci ludzie, żyjąc z sobą już od lat czterech, mogli tak zawsze być razem, żeby mąż obchodził się bez kart i hulanki, a żona bez niewinnego nawet flirtu... Przepowiadano, że to źle skończyć się musi, wyglądano jakiejś katastrofy, któraby obafiła to spokojne szczęście.

Niedługo po ślubie Heleny, Wanda, która coraz częściej bywała w Starowoli uważała ją za najmilszy kącik na świecie, zagadnęła Rożańskiego:

— Wyobrażam sobie, jak pan tęsknić musi za Starowolą, gdy moje interesa zatrzymują pana na czas dłuższy gdzieindziej.

Stefan westchnął i odpowiedział z wolna:

— Niestety, nie podzielam tej Skalskich rodzinnej słabości do Starowoli... tęsknię za żoną i dziećmi, gdy jestem od nich oddalony, ale gdybym mógł zabrać rodzinę i przenieść się w te strony, gdzie majątek państwa, uczyniłbym to z radością. Co za ziemia, lasy — jakie szerokie pole działalności!

— Panie Stefanie, ja nigdy do majątku mego nie wrócę, zbyt smutne wspomnienia mieszczą się tam dla mnie. Gdybyś pan chciał zamiast administrować, wydzierżawić, lub nawet nabyć te dobra, bardzo bym chętnie na to przystała, a my zostalibyśmy się przy Starowoli, która dla mnie coraz więcej nabiera uroku. Potrzeba, żeby się pan nad ten namyślił, i ze Sasiem rozmówił.

— Kwestya to dla mnie trochę drażliwa, my tak wiele zawdzięczamy Stanisławowi, pani rozumie, że...

— Sama z nim o tem rozpocznę rozmowę i pewną jestem, że się wszystko ułoży jak najlepiej...

Tejże samej jesieni Rożańscy opuścili Starowolę, a Stanisław Skalski tymczasowo umieścił w majątku rządęcę, opiekę jednak i nadzór nad wszystkim objął Alfred.

Ciężkie i smutne było dla Zofii rozstanie się z wioską rodzinną; ze łzami pożegnała córkę i groby rodziców, ale bez szemrania spełniła swój obowiązek i... poszła za mężem.

Ośm lat pożycia małżeńskiego spłynęło Skalskim,

jak jedna chwilka. Kochali się zawsze jednakowo. Troje dzieciątek, dwóch synów i córeczka, chowało się zdrowo na pociechę rodzicom. Większą część lata, spędzano na wsi, zimę w Warszawie.

Wanda rano i wieczór obecną była przy ubieraniu i rozbieraniu dzieci, z rozkoszą oddawała im potrzebne usługi, składała drobne rączki do pacierza i nieprędzej opuszczała pokój dziecinny, aż gdy na czole każdego uśpionego dziecka złożyła serdeczny pocałunek, poczem wychodziła cichutko na palcach, szła do kancelaryi męża, przerywała mu robotę, aby razem z nim przepędzić wieczór.

Godzina dziewiąta minęła, Stanisław niespokojnie spojrział na zegarek.

— Dziwna rzecz, że Wandy dotąd nie ma — pomyślał.

Wstał od biurka i poszedł do dziecinnego pokoju. Wanda siedziała pochylona nad łóżeczkiem dwuletniej Zosi, twarz jej bardzo blada wyrażała straszny niepokój; gdy spostrzegła wchodzącego męża, wskazała mu w milczeniu na rozpaloną twarzyczkę dzieciny i rzekła stłumionym głosem:

— Zosia chora, po doktora posłałam, dotąd środki domowe żadnej nie przyniosły ulgi.

W tej chwili, nadzedł oczekiwany lekarz. Zbliżył się do łóżeczka, zbadał chorą dziecinę i rzekł:

— Może się mylę, ale należy oddzielić małą od reszty rodzeństwa, symptomata zapowiadają szkarlatynę...

Wanda, nie rzekłszy ani słowa, wzięła chore dziecko na ręce, zaniosła do sypialnego pokoju i na swoim położyła ją łóżku. Od tej chwili dniem i nocą czuwała nad nią, nie dając nikomu zastąpić się, Stanisław jeden mógł dzielić jej trudy, ale skłonić ją do wypoczynku nie zdołał. Wszystkie jednak starania były daremne



i szóstego dnia dziecina skonała na rękach zrozpaczonej matki, którą w tejże chwili opuściły siły i przytomność. Położono ją do łóżka; choroba od razu wystąpiła — była to szkarlatyna, groźna dla dzieci, dla starszych najczęściej śmiertelna; Wanda padła jej ofiarą i w dziesięć dni później spoczęła obok swojej córeczki na cmentarzu.

Któż jest w stanie opisać rozpacz Stanisława — obawiano się długo o jego życie.

Przyjechała Zofia, Alfred z Helenką, otoczono jego i dzieci najczulszem staraniem, szukano sposobów, by boleść po poniesionej stracie złagodzić. W obec tego straszego nieszczęścia, na widok człowieka, tak pełnego energii; tak potężnego umysłu, zgiętego nadludzkiem cierpieniem, głos zamierał w gardle, nikt słowa pociechy znaleźć, ani wymówić nie umiał.

Nakoniec, widok dzieci ubranych czarno — w niewinnych oczkach noszących pytanie, dla czego w koło nich wszystko posmutniało, gdzie się podziała mama — podziałal na zrozpaczonego człowieka. Stanisław błędny wzrok utkwiał w dzieciach, patrzył na nie długo, wreszcie chwycił się za głowę...

— Dla nich żyć trzeba — rzekł — to dzieci mej Wandy...

Zwłoki Wandy i Zosi, tymczasowo złożone w katakumbach Powązkowskich, Stanisław przewiózł do Starowoli i pochował obok rodziców. Poczem smutny, ale spokojny, wydał rozporządzenia: kazał odnowić dwór, postawić oficynę; z Warszawy przesyłał meble; mieszkanie jego opróżniało się zwolna. Wykończył zaczęte prace, nowych nie przyjmował; odstąpił nakoniec swoją kancelaryę młodszemu koledze i zabrawszy dzieci, wyjechał do Starowoli i tam zamknął się niepocieszony w swym żalu, czas swój poświęcając dzieciom. Poważny smutek jego nie razi nikogo? łagodny, pobłażliwy,

budzi zaufanie, z radą i pomocą, spieszy w każdej potrzebie, to też choć się usunął od świata, dom jego nie stoi pustką, sąsiedzi odwiedzają go często.

Minał rok żałoby, wśród smutku i poważnych zajęć, Skalski od czasu do czasu, — opuszcza swój rodzinny zakątek, bywa w Warszawie, zajmuje się ruchem umysłowym w całej Europie, a nawet niekiedy piorunująca jego wymowa i wzrok pełen wewnętrznego ognia, gnębi u krtek sądowych przeciwników.

Skalski jest poszukiwany w towarzystwach; mieć go u siebie, poczytywane bywa za zaszczyt w najpięwszych salonach, trudno bowiem bardzo przychodzi na liczniejsze ściągnąć go zebrania. Gdzie się ukaże, oczy kobiet ścigają go uporczywie, każda radaby grać jaką rolę w życiu tego niezwykłego człowieka, młode chętnie chciałyby go pocieszać, starsze dostarczyć pocieszycielek z grona najbliższych osób. Ale próżne zabiegi, Skalski uśmiecha się uprzejmie, rozmawia, lecz korzystać z dobrych chęci ani myśli.

Szanowne matrony starają się jego przekonać, że dla dzieci jego, jeszcze w tak młodym wieku, konieczną jest opieka kobieca, że jest to niejako jego obowiązkiem dać im drugą matkę... a panna Amelja tak lubi dzieci, jest przytem młoda, piękna, bogata, zdolna ze wszech miar stworzyć mu szczęście domowe. To znów pani Róża, bezdzietna wdowa w średnim wieku, dwa lata temu przeboleła stratę ukochanego męża, czy nie byłoby dobrze, gdyby złączyli swoje losy i popróbowali pocieszyć się wzajemnie? Skalski uznaje zalety dam, o których mowa, z wdzięcznością całuje rączki swoich opiekunek... i z poświęceniem wraca do Starowoli, podwaja najtkliwszą nad malcami opiekę, wchodzi w najdrobniejsze szczegóły ich wychowania, a tuląc ich do piersi, powtarza w duszy:

— Dać wam drugiej matki, biedne sierotki moje, nie mogę, zastąpić jej nikt ani godzien, ani powinien; nauczę was kochać jej pamięć, żyć jej wspomnieniem...

I znów długie miesiące przebywa w swem ustroniu, dzieląc czas między poważną pracę i zabawę z dziećmi, aż póki obecność jego nie stanie się niezbędną dla interesów majątkowych, lub obrony pokrzywdzonych...

I znów przeminęło lat dziesięć. Czerwiec ma się ku końcowi, na ganku w Starowoli siedzi poważny pan Stanisław Skalski; dziś czeka on na synów swoich; przyjeżdżają na wakacje...

Utkwił wzrok zadumany w wiodącej do dworu alei, a stare lipy poważnym szmerem opowiadają mu dzieje jego życia, tak ściśle związane z tym cichym rodzinnym zakątkiem.

K O N I E C .



62 008

~~59677~~